

ELENA KORDZIKOWSKA.

ROZITA KOSEŃ
NIECH ROZPLECIE



1912.

WILNO.

HELENA KORDZIKOWSKA.

ROZITA KOSEŃ
NIECH ROZPLECIE



1912.

WILNO.

89



ZA SŁONKIEM.

884-311.2

M



S

Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

W.
R. 126 z 6.7.45r.

W alei topolowej Staś i Mania, trzepiąc rączkami,
nóżkami tupiąc, ku zachodowi spoglądają.

Po niebie szklanem, coraz to szerzej czuprynką po-
trząsa — zjeżdża i zjeżdża słoneczko.

Po niebie szklanem — a ładne a wyzłocone! — le-
cą, czy płyną, kto je tam wie? leciuchne, jak dymek,
jak dymek sinawe chmurki.

Może i nie chmurki. Aniołków srebrem przetykane
sukienki może. — Albo i żorawie — głosami jak dzwo-
nek śpiewające.

— One śpiewają, Stach?

— A jakże.

— I lecą za słońcem — Stach? — Śpiewając, lecą,
lecą...

— Mań! Mań!.. Wszystko tam leci!..

— A my?

— Nie bój się... Oho!.. I my polecim...

— I my!

— Hej!.. Hej!..

Odsadza się — obcasikiem po kamykach dzwoniąc,
wśród kurzu tumanów, jak strzała pomyka.

— Staś!..

Co tchu, co sił... I ona ptaszeczką być, polecieć
chce... i ona! i ona!

Pochyliły się, ciemnym liściem wionęły topole. Alei
tej straże posępne, odwieczne. Gwarzą zcicha.

Zatrzymać chcą?.. Nic z tego. Żegnajcie topole.
Brzózki szeleszczą. Smukłe, białopienne. Listkami,
ni to mnóstwem skrzydełek trzepocą.

Brawo dzieci, o brawo! spójrzeń, uśmiechów posy-
lają za niemi tysiące.

Pomiędzy olchy, z nad ruczaju budzi się i wierzba,
czarownica stara. Grzbiet zmurszały prostuje, chorowi-
temi wywija prątkami:

Skrzyp, skrzyp... stójcie-no! — Skrzyp, skrzyp,
stójcie dzieci!..

— Staach!..

— Oo?!

— Cóż tam skrzypi.

--- Niech skrzypi!

— Długo ty jeszcze?..

--- Długo!..

Furkają wzdęte ich bluzki, szumi włosów rozwia-
nych jedwab. Usteczka drżą, latają nozdrza — jak z pod
rosy kwiecie lśnią oczy błękitne.

Hej, hej, ni to dzwoneczki w kościele, rozkołysały
się serduszka! — Że i tchu braknie... hej!

— Długo ty jeszcze?

— Spójrz Mań!.. Zielono — nie widzisz? — Zielono,
zielono, zielono!..

— Staś!.. ja... nie mogę już!.. Staś!

Zdyszana, oszołomiona zwija się, pada. Twarzycz-
kę zanurza w trawy wysokie. Cichnie.

Opodal, wzdłuż zbożowych łąnów, Stach się po
łąnce tarza.

Śmieje się, kopie nóżkami, to rzy — oho — rozgłoś-
nie, donośnie.

Ścichł nagle i on. Co to? Nasłuchiwać zaczyna.

Hałas jakiś w oddali... Młyn, ach młyn niezawodnie!..

A to — czajka. Nad chwiejące się zboże, zboże zie-
lonkawie.

Chwieje się, chwieje — szeleści.

Tak za ogrodem, w olch cieniu, falami trącając drob-
nemi, szemrze ich ruczaj miły.

Oj, miły! Czysty a chłodny. W nim, jak w lusterku,
olchy widać zamyślane. Kamyki na dnie widać. Rybka
czasem przeleci. W rączki nadstawione rybkę złowić
można.

Cóż stąd? W krzyk Mania, i uwolnić trzeba. Zawsze
tam, zawsze Mania w krzyk.

A nazwij kurczątkiem — gniewa się... Wiesz Maniu
kto ty...

Ma-Maniu!

— A kuku!

Głos, zdałoby się z pod wody. Ale i gdzie malutka?
Klaszcząc w rączki: caca! caca! główką na wszystkie
strony kręcąc, tam, ot, przed chwilą siedziała.

— Gdzie ty?

— Kuku!

— Gdzie? — Nie widzę.

— Tu Stasieczku. — Widź!

— Czegoś tam wlaźła?

— Kwiateczki—oo! Ten caca... lala ten... Drugi...
trzeci...

— Wychodź! — Staś miedzą przesuwają się ostroż-
nie. — Żytko gnieciesz... chleb!

Nie słucha. W zboże, jak w wodę brnie. Jak z pod
wody główką złotą z pod kłosów błyska zielonkawych.
Przedziera się, depce, łamie. — Caca! — wyciągając
rączyny, biały napełnia fartuszek.

— Słyszysz Mań?!
— Ja nie słyszy.
— Żytko depcesz — chleb!
— Trawa!
— Z tej trawy chleb. Noskiem pociągnij... Mocno, mocno!.. Pachnie?
— Ja te kwiateczki dla ciebie...
— Jeszcze tam czego? — Rzuć! — Cha, cha — ka-
kol sam.
— Moje... moje... Mania kocha... nie rzuci.
— To ja ciebie rzucę. — Ho! Hoop!
— Staś!
Za niemi już zbożowy łąn. Zielonkawy i rozkołysa-
ny, ku niebu dymek wonny w smużkach wysyłający
rozwiwnych.
— Ho — hoop!
Susami, z czołem pochylonem pędzi Staś. Dziew-
czątko leci za nim, kwiaty gubiąc po drodze.
Włoski po niebie coraz to szerzej rozsypując, zjeżdża
i zjeżdża słoneczko. Nad lśniące wody i bory kędyś
ciemne. Kędy na nie — namioty szkarłatne rozpiąwszy—
liczne jego wyczekują sługi. Gdzie, cały ze złota i kry-
ształu, cudny, ach, cudny jego świeci dom.
— On już odjeżdża... Mańka, widzisz?
— Do słoneczka ja chcę... do słoneczka!
Znowuż bluzek szum i kołat serduszka. Stópki, zda-
wałoby się, nie dotykają zieleni.
Oo — lecz i któż tam pędzi za niemi? — Pędzi —
pogwizduje...
— Stasiu, kto?
— Wiaatr!
— Gdzie on pędzi?
— Do młyna!.. Da im za swoje, da!..

Urywa się miedza, są już na gościńcu. No, i z ga-
lopa w truchcik przechodzą. Trzymając się za rączki.
Onieśmielone.

Co za dziw, że onieśmielone? Wśród zgrzytu i pisku
ze wzgórza za niemi toczą się wozy drabiniaste. Na nich
worków pękatych moc. Przy każdym wozie, w chała-
cie długim, ciemnym, człowiek z twarzą ciemną. Pejsy
i brody. Aj, aj, pod czapkami pewnie tam, pewnie jar-
mulki!

— Nie lękaj się, no! — Żydy...
— Czy oni dzieci zabierają?
— Zboże wiozą. Skąd... kto ich tam wie? — Może
i z Egiptu.

— Dzieci nie zabierają?
— Mnie się trzymaj. — Oo, źli! — Józefa do studni
suchej wrzucili.

— Stasieczku, aj! — Niema tu suchej studni?!
— No, no, już tam sobie pojechali... już. Ej, ty! —
czego się jeszcze ogląda kurczątko?

— Gwiżdże znowu... ten ktoś.
— Wiatr? — Nieźle gwiżdże. Niech gwiżdże. Pędzi
niech!

— Gdzie on pędzi?
— Do młyna. — I on młynarz. Wiatraczek miał.
Zepsuli wiatraczek, młyn postawili na wodzie. Da im za
swoje, da! Ot, i wleciał. Nie mówiłem? Ot, i hałasuje.
Trajkot we młynie i łoskot i wrzawa. Koła, jak sza-
lone, śmigają. Całych trzy. Woda burzy się, pluszcze.
Drga młyn—drgają nawet most i grobelka. I warkocz
wierzb, nad szerokie pochylonych wody.

Sądny dzień!
To i nie widać młynarza, jego rumianej twarzy i
sterczących w górę wąsów.—Cały osypany mąką, To-

mek wszakże, jak gdyby nie zaszło nic — na schodach się gapi. Nie dość, że się gapi, lecz i krzyczy na cały głos:

— Dzieciuki ze dworu!.. Kto im dał wyniść samym?.. Panie mój!

Rumieni się Stach. Piastki zaciska gniewnie.

-- Jak on śmie.. — Jak śmiesz? — woła. Niestety, głuszy go młynu trajkot.

— Nic, Maniu, powoli.

A sam radby piorunem utrapioną przelecieć grobelkę. Nakoniec.

Tuż przy gościńcu dolinka miła, cicha. W niej omszałych głązów kilka i duży, poważny dąb, szeroko rozpościerający ramiona. Tu i owdzie sączą się strużki, chwieją zlekka czeremchy i łozy. Kwiaty się też chwieją. A kwiatów moc. Wśród nich żuczków roje. Fruwanie i trzepot, brzęczenie, podzwanianie...

— Siądźmy tu sobie.

— Boi się — oo! — boi... tu — woda?

— Tchórz!.. Piasek, ot widać trawę.

— Ale i liście szerokie... szerokie... I mruczy tam coś pod liśćmi.

— Żabka zielona. Wstyd. Lękać się ładnej żabki zielonej. — Siadaj. Tu pod drzewem, no!

— Ten drzew nazywa się lipa?

— Dąb nazywa się. Stary, stary dąb.

— Od dziadunia starszy?

— Oho, może mu tysiąc, może ze trzy tysiące!

— Czerr, czerr... słyszysz Stasieczku? — I to żabka zielona?

— Derkacz... Ale i patrz! Paatrz!

Na spotkanie słońca, tam — oo! — tam! po niebie zapalają się płomyki... Bengala!.. Bengala!.. Takie, ot,

Leoś tacie na imieniny zapalił. Dłuższe tylko, śliczniejsze, a i w biały dzień. O śliczne! — Różowe, i zielonkawe, bladolila, zlociste... Wybuchają, migocą i gasną—rozpalają znów...

— Caca!

— Czemu nie spadają... Czemu? czemu? — Niech spadną! Spadną niech!

— Staaś!..

Spadnięcia ogni w złą chwilę zapragnął Staś — bo i spadły. Ziemia zaczyna się palić, no! Skrami syjąc, płomienie złotoróżowe rozlażą się, pełzną. Pod wzgórza — po niwach kłosiastych — po wodach, co nagle rozbłyły i dymią.

Co się dzieje! co dzieje! — W ogniu już i dach kościołka starego pod lipami! — Jak żar, jak żar, wnet popękają chyba okna jego wysokie... Już się i dzwonnica zajmuje drewniana, pod strzechą gniazda jaskółek niezliczonych...

— Spalą się i jaskółeczki?

— Dzwon... oo — nakoniec biją w dzwon!..

— Spalą? — Ciach, ciach, jaskółeczki!.. Biedne, małe jaskółeczki! — Biedne!

— Nie krzycz! — Nic się tam nie spali — nic. — Gaśnie.

— Deszczyk zagasił?

— Co za deszczyk?

-- U Mani kropelka... oo — druga! trzecia!

Zachód jeszcze goreje blasków ostatkiem, a już z przesyconego wilgocią nieba rosa leci. — Leci — tkanką pajęczą, łąki pokrywać zaczyna i niwy. Ciężar leciuchny. A pod nim łąki uginają się bujne — bogate z szumem pochylają niwy. Rosę pijąc, lśniąc w brylantach rosy.

— Tiu, tiu — tiu, tiu, tiu — Stasieczku, słyszysz?

— Grają chłopczyska. Z wierzby ponawykręcali fu-
jareczek.

— Żeby i ty ponawykręcał!..

— Jeszcze tam czego!.. Ja żołnierz. — Bębnią,
trąbią — ja z szabelką, na koniku... Hop, koniczku, hop! —
A tobie: czach! — i tobie! a i tobie — czach!

— Czemu?

— Tak trzeba na wojnie.

— A komu ty na wojnie chcesz robić czach!

— Maniu, złość bierze... Pytasz... pytasz... Aaa!

— Uciekło!.. wcale już słonka nie widać!..

— Wcale!

— Niema już ciebie! — Dobranoc, panie słoneczko,
dobranoc!

— Dobranoc!

— Staś, Mania już do mamy chce...

— Wypoczęłaś? — No, to i rączkę dać... Hej!..
Heej!...

BAJDURZYNA.

— Jom powtór żeniato — no! — Raz pirwszy za
chłopa se dało. — Nie wiedzieli?

Posłyszeć kcielibych... Siądźta, proszę, na kanapie,
jo na zydlu siędę. Ziemniaków trza na podwieczarz,
obiroć będę ziemniaki — pogadamo.

Wszycko se — oo! — wamo rozpowiem.

Nasamprzód: jo nie Myślenicko, nie! — Jom z Kra-
kowa. Córo majstra szewckiego Czapki.

Pan majster Czapka, no! z kraju zabranego. — Za-
brany, wieta, co go Prusak zajon.

Poważno człek, sąteczno, w gości przyńdzie ojciec
do Krakowa. Cysarza naszego poznać.

Ujźry matko w kościele. Pikno, kiebych święto na
ontarzu. Rozmiłujec se, rozmiłuje!

Bez onom-ci Krakowianko, z Krakowiany ostał —
no! — Wzion-ci jom zasie.

Nie przez termedy-i.

Krew z mlikiem, kawalira miało. Lubilo — jej!

Szlubować se mieli.

Trzask, przask, do wójska wzient!

Na roki długie, jak ongi było we zwyczajju.

Dopiroż lament, płacz, łomanie rąk dopiro! — Nie
będzie ten, nie kcę nijakiego — nie, i nie!

Słał swaty i słał, prosił a upraszał... Uprosił se jom
pan Czapka — no!



Przyńdzie — oo — na świat pierwsze ich dziecino. Malučko, czarniawo, bidno se cale — jej! — A chuchać, a dmuchać, w mliku — da wiarę pani? — kompać... Odchuchali, oddmuchi.

Jako w niebie, dzieciskom je u nich — pośpieszyć i jo.

Jej, brzyćko spotka przygodo!

Pan ojciec za swoje nie kce znać.

„Twoje i twoje“ matusi powido, chocia se łzami obliwo niebogo, na sąd Boży knie.

Twoje i twoje.

Bez co zasie:

Bido mi podczas kawalira onego do Krakowa przyniosło. Pod progi nasze wodziłoć, a wodziło. Oczy cho-ciabych napasł.

Oczy se. Zaś, zaś, paniczko. — Niewinno cale, święto było kobicino. Z pana ojca jeno człowiek zły. — Oo! — zły. — Surowiec. — Nie Italjaniec — po itałjańsku zazdrošno.

— Twoje i twoje.

Bidne ty moje, kochane matczysko, coś beze mnie wycierpiało!

A i mnie, myślita, chuchano, dmuchano, alboć i kompano w mliku — no?

Jej! jej!..

Poniwirko se od mała. — Szatko dla mię najlich-szo, strawy kęs poślednio.

Rosnąć... i bido rośnie. — Ciuptaj, tuptaj, wysługowaj se každemo — w kark! o lada co.

Kąždemo se wysługowaj, zaś i onym, co je pani matko rodziło a rodziło.

Boże, Matko Najświętsza, błogosławieństwa nie szczędziłoś!... cór mieli dwanaście.

To i zdarzyć se niero: matko w pościeli, w kolebce dziecino, dzieci se tyła, czeladzi, wygódź, dojźryj, — na mię ta wszyćko. — Późniaczek jeszcze — roczków niezrałych — no!

Zabiegliwo późniaczek, roztropno. Bido krzepi, rozumu przydaje — nie zaś, pani dobrodziejko? — Wygodzę zdrowym i chorym wygodzę — zeńdzie czasu? kolebię dziecino.

Niejedno — ej, śmiech — urosłoć już sporo, dziwczę tłusto, ładno, a jeszcze se, chycel siostró, kiecki mojej uchyci, bywało. — Lulaj! — bywało — Józiu, luulaj! — woła.

Idom se roczki, nie stojom, nie! — U pana ojca, pani matki — rośleć a pikne — dziewuch, kiebych drzewin w gaju.

Jużeć i za baržo — oo! — jużeć se nie chuchajom. Dla mię zasie — oo! — jużeć i miejsca nimo.

— Nie trza jej namo — gadoć se pocznie ojciec — małżonka jej szukoć trza. Nie w Krakowie. — Dużo kciałbych wiana. Za Kraków jom dać.

Tu, na Myślenickiem podlesiu, żył, pani dobrodziejko, chłop, zwan Bajduro. Nie baržo pikno: malučko se, czarniawo, no! Niemłodo cale. Przez oświaty.

Ojciec gado... ciotko słucho se. W Myślenicach, mieście, Kołodziejczyco, ciotko mieliśmo. Bywałoć u nas niero. — Słucho, rzeknie:

— Mom dla Józi kawalira, no!

Gorała mi — oo! — rai onego.

— Kiebych złoto człek — prawi — gronta, jej! pikne — chałupo se porządno. Leśnym je u księcia pana. Honor se, no! — zysk zasie: pobiro pensy-jo. — Widziół cię. — Udałoś mu se, panno. Barżoć a baržo udało. Krewniaków nijakich, jeden-ci z rodu, no! — Żono królować se będzie, panować.



— Idź, Józiu, idź! — doma wszyćcy na mię.

Nie kciałom.

— Nie pónđę — krzycało — za chłopa nie pónđę, chocia i zabijta! — Zabijta. — Nie? — Ooo! — śmierć samo uczynię sobie!..

K'temu szloch i bek, bek i szloch, paniczko.

Złomali.

Myślita, co pan ojciec, alboć i baržo uparto kawalir? — Ej, nie! — Matko mię złomało.

Twardoć je skryzało, tęgo. Pocznie se w niom dziurgoć wodo: kapecko se, kapecko i kapecko — samoć ta skryzalom skruszy — no!

— Idź, a idź — po kapecce mi co dnia. — Zmogło jej!

Zbyć tak baržo kcom... Niechta! — Dało se za gorala.

— Ostań, córo, z Bogiem. — Królować bedziesz, panować. Naści zaś i wiano: papirków — oo! — czterdzieści.

— Bóg zapłać, panie ojczy, pani matko, za chlib — oo! — i sól, ciupty zaś i tupty, wiano zasie — no!

Zbyli mię, jako i kcieli. — Do Myślenic wyjechało.

Goralko za goralem. — Pani Bajdurzyno se.

Ha! wieczór oplakany, kiedym se góry one srogie: Chełm, Gruszecznó, zaś i Ukleino raz pirwszy ujźrało! Po wirchach, sosno, świerk — szumić se Rabo, rzyko bystro, puszcze se one szumiom... Hajnok hań, na podlesiu, chałupska brzyćkie, dymne.

— Myślenice se! — krzyknę.

— Ano — rzeknie — wieś je Myślenice.

— My se nie mieszkamo hań — lo — Boga!

— Mieszkalibych!..

— Pikno, Kołodziejczyco mówiło, chałupo se mamó?

— Hale!

— Wskaźta mi — oo! — jom.

— Wskaże. — Boże, Matko Najświętsza, psi se pikniej mieszkajom w Krakowie!

Zaś, panicko, zaś.

Wchodzimo. — Bez drzwi se — o! — Jako chcąc, moglibych i bez okna. — Wiater dmucho, trapić o jako trapi dym! — bido se w izbach dziadosko. Brud zasie, pajęczyno, królik se.

— Ej, rzeknę, służko se macie ladajako!

— Nie mom służki — odpowie.

— Za ścianom stęko se ktosik — no!

— Matko se — rzeknie — mojo. — Trza jom szanować. Mieć o niom baczenie — oo! — trza. — Bidno se cale, od pracy zjedzono starowino.

Królowanie! — Panowanie!

Oka bez noc nie zamkło. — Obliwom se łzami; łomięć se we wnętrzu swem, łomię; kalkulując, medytując.

Spały jeszczeć ta Myślenice, przed chałupo wyńdę. Cni mi se, jej! cni. — Jako i wczoraj, rzyko szumi se, wirchy szumiom. — Szum zasie: bedziesz, Józiu, wiek cały bidować — oo! — harować! Bidować — ooo!

Wyjźry słońce z za Ukleiny. Sadeczek se naszó pod kwieciem; krze na zagonkach juźeć puściły ziemniaki; pszczołki polatujom. Powitrze — jakobych czleka niosł! — Tegoć nie miałom w Krakowie.

Tedyć i Chowanno raz pirwszy postyszałom. Krowo se naszó. Cnotliwo — jej! — Cielok z onej był zasie.

Skrzepiałom, pani dobrodziejko, no!

Dobra mi, pomysłęć, przyczyni płacz? — Oo! — nie przyczyni. — Pracujmo. — Z paniom bido weźmo se za bary. Młodom je, zdrowo — zaś i dužo, ramienia chłop

drugi nie dóndzie... Przyduszę, nie popuszczę, jeszcze se i zduszę bestyjo!

✦ Obrządek chocia i nieznany, obrządziłom gadzino; do matki mężowej weńdo:

— Dobre, matko, południe — syna mieli, córko se dostali, no!

Myć a czesać jęnom babusio.

Żali se. Miało we zwyczaj.

— Bogato byliśmo, bogato! Zbidnieliśmo, zbidnieli. Nie ratujeć — ratować nie kce pan stryj.

— Stryja macie bogato? — za gorziel mię chyci.

— Jędrka stryj w Krakowie. — Bogato, jej, bogato.

Skompo se.

Trzask, przask, wybiegnęć, chłopa se odszukom.

— Ubiroj se, wybiroj. — Trza ci do Krakowa.

— Jużem cię wzion — powido — co mi po Krakowie?

— Do pana stryja — no!

— Nie trza nie — oo! — pana stryja.

Rozgniwow se:

— Goral — rzeknę—Myślenicki, jej! goral ciemny...

Nic mi nie powiedzieć! — Stryjowi se nie uniżyć, błogosławieństwa, daru se jakowego nie uprosić! — Goral — jej!

Powie:

— Skompo je ksiondz. — Darubych nie uczynił. —

Jo zasie:

— Uczyniłby, kiejbych se dowiedział, no! — Kiejbych mu rozpowiedział, coś żeniato, panno se wziońś porządno. — Bido zasie u cię — horo. Chałupsko se — jej! — Nie jako mi Kołodziejczyco godało — jej, jej! — nie jakoś prawil — no!

Ustuchnie. Póńdzie ta. Ksiendzu se pokłoni.

— Bajduro se... Ha! — Z czem Pan Bóg prowadzi?

— Błogosławieństwa, rzeknie, proszęć.

— No?

— Żono se wzionem.

— Toś i wzion. — Co dalej?

— Barżoć a barżo porządno.

— Dalej!

— Córo rzemieślnika.

— Bogato?

— Bidno se cale — jej!

— Toś kiep! — ksiondz jemu, na planty prowadzi, szelonga nie dawszy, temci go pożegnał.

Szeloonga nie dawszy!

Dopiroż w lament! w bek! — we włosów — Boże, Matko Najświętsza — rwanie! Stare, pomyślta se pani, chłopisko. — Łzami oblan, roztargano, do dom wróci, no!

— Płacz se — oo!—rzeknę, jakoby umar ksiondz. Nie umar, nie — ino wiekować nie bedzie, nikt se nie wiekuje. Pomremo wszyćcy, no! — Zaś i szkatuły z sobom nie zabiere. Kce, nie kce, namo se dostanie szkatuło. Poczkaймо se. — Centy, stówki onemi jeszcze se pożywiemo.

Barżoć a barżo staro. — Ino, wiedzieć kcielibych paniczko, ila roków żył jeszcze? — Roków se żył ośmnaście.

Umar! — Nima go! — z Krakowa nowino przyńdzie dopiro.

Jej, radość! uciecho, jej! — Skompo, łakomo na centa, skompił, zbiroł — ila i uzbiroł! — Naszo se bedzie — królować — oo! panować będemo.

Hale! — wszystko se rozpisał na instytu-cyje, swoim nie ostawił ni szelonga.

Ni szelonga!

Jużec nie płakał, nie desperował Bajduro — do cna mi skapiał jeno. — Pracy nijakiej odeń, pociechy nijakiej. — Jeszcze se i gorzało pocznie pić.

Jo zasie... oo! — serce odmienić se i we mnie.

Roków ośmnaście! — paniczko, pomyśłta. Chlib a ziemniaki, sutko se kukurudziano; w chałupie ziąb i dym. Je roboto, jej! — sługi zasie, ni służki. Kiebych mucho na miód, na roboto padom. Bosonoż, w kiece potarganej, harując przez folgi, odpoczynku.

Skorom się, pani dobrodziejko, mężowi miast kónia, wprzęgać do wozu dawało.

Nie wierzycie?

Spytajta se Myślenickich ludzi starych...

Pod wirch, jeszczeć jako tako. Inoć z wirchu — lo Boga! Po drożynach se onych, sianem, albo i patykami wyładowan, nie trzymo wóz... Bystro se — oo! — biegnie, razić, bije — krzyże mi obija, boki.

Chorzeć jénom. Kумы w krzyk. Przez kónia ostał niebożę.

Żarły mię — zaś! zaś! — i baržo se harunki one. Zbidniałom, szcerniało, schłopiało se cale — jej! — Żarły. — Aleć i nie wzięny ochoty, wesela.

Myślało:

— No, nie zawdyć ta w poniwirce krew pana Czapki bedzie. — Uczyni mi se jeszczeć jako i wróżyły. — Zemrze jeno ksiondz.

On mi zasie...

Odmienić se dopiro wnętrze me.—Nic nie ciszy— wszystko trudzi, jej! — Snu nimo, biere niecierpliwość, chyto gniew. — Śmierci przyzowuję.

Przyńdź, śmierci, lamentuję — przyńdź! — Weź mię ta z sobom, od hory, bidy, no! — Skoró mi Boże, Matko Najświętsza, dobra nie kciałoś dać! — Przez oświaty, brzyćko se i staro męża mom; dziecisków com prosiło, upraszało, nie uprosiłam; chudoby żalujom ta. Co mi po życiu? — przyńdź śmierci, oo — przyńdź!

Dopiroż sen wyśni se — jej, dziwno!

Jakobych mi w szybo ktosik: bęc! — Wyjżrę — somsiado stoi nieboszczyco. — W rękę sierzp se i płachto — rzekłbych przyszło dla odroby — stoic se — oo! — kieby żywo.

Lęk mię chyci:

— Odrobiliśmo! — krzyknę — nie trza namo, nie! — Do Kuby se idźta, do Szperki!

Ono mi:

— Do was, kumecko, przysłano.

Krzyczęć:

— Na góro idźta Plebańskom! — Owies im uźrale! — bierom, haj, haj tyła bierom przez pomocy.

Ono:

— Nie na Plebańskom, nie! — jo do was, imość se moja przysłano. — Cobych powiedziało wamo: Nie wołajta srogom se panio, jej, jej, nie wołajta! — Nie wołano przyńdzie. Przyńdzie se — weźmie od wszyckiego, na nieznanie brzegi, w nieznanym powiedzie harunek. Harunek i hań — zaś, duszo — zaś — nimo se dla nas folgi, odpoczynku.

Sen to był. Dla mię, paniczko, jakobych nie sen — barżom se ulękno. Pani śmierci — oo! — cale zwać przestało. — Harunek na harunek, znano jeszczeć ta na nieznanym, zaś handel! — wygrano zasie — no!

Skoroć dobra ni tu nie znańdzie, ni hań — rzekłom se — tu ostać, z bidom tu se borykać wolę. Przez pana ksiendza wydobrzejemoć se, kobicino.

Wydobrzało.

Przez pomocy nijakiej — cobyh nie krzywdzono! — harunkiem jeno swym, przez folgi, odpoczynku, zaś kalkulacyjom.

Grontu Bajduro miał morg jeden i trzy ćwierci. Wiedzieć kcielibych ila mom? — Hale!.. Morgów se mom czternaście!

Je i skrzynko, no! W niej reńskiego znańdzie. Zaś i porządno chałupo zrychtowałam. Cobyh nie trapił mię dym, wiater bez palce nie dmuchał, żabo z okna nie gadało na dobry dzień.

Z wianac ta ojcowego wszycko, no! — Czterdzieści to se zapamiętali? — Za siedm, wieprzka zaro se kupiłam. Upasło — przedało za czterdzieści. Wianoć — oo! — zdwojone.

Do Chowanny onej, krowino, jej pikno, dokupić Rozanno. Paszy na podlesiu, ila duszo zekce.

Mlika i kapecki nie uronię. Do Myślenic miasta niosę, przedom. Alboć i serów kopę, masła uzbirało korcinę, do Krakowa se — oo! — szlę. Miodu zasie. Miałom ta zawdy garami, jako i tero se mom. Pszczolki widziałość pani dobrodziejka w sadeczku — no!

Wzięno centa? — pilnuję — oo! — srogo — cobyh se toczył i toczył, — reńskiego mi przytoczył. Je reński? — próżnować nie dom, nie! — na stówko niech mi zapracuje. — Stówek mi trza, o trza! — Dokupuję — nie? — to harendując gronta; len sieję, konopie.

Skoroć odrobo nie kosztowało. — Leśny se. — Za

patyk, co go z lasów księcia wynieść dawał, odrabiała ludziska.

Nie kosztowało. Grontu on zasie nie dokupował — ciuro se.

Ej, ciuro!

No, i trza było, z Bajduro se onym, bidziłość se Bajdurzyno roków, jej, jej, trzydzieści!

Umar jużec w Krakowie pan Czapka, ojciec mój. Zaś i bidne moje, kochane matczysko; babusio, matka jego — ludu — oo! — moc. On se, jej! niecierpliwość biere, on se żywie i żywie; gorala onego nie kce — oo — śmierć!

Bez wygodo se, paniczko. Folgowałam ci. — Chałupo, co — hale! — ila kciał jadła, napitku; pierzyno pikno, spanie w alkierzu dawałam. — Pracy nijakiej. — Nogami szurgo, za gordziel se chyto, pokaszluje starowino. Wieta żem lekarko. Ziola warzę, Morrisona cobyh mu krew odmłodziło, dając — no!

Aleć i chwilo przyńdzie ostateczno. — Gromniczno se był dzień: Słabo! słabo! z pod pierzyny słyszę o świtaniu. — Naparzyłam herbaty. — Wypij! — skrzepiesz mi zaro. Wypił, na nogi se chyto. — Zimno! — Guńko mu dało, przed piec wiodę. Na zydlu siadł: Jej, żono, kciałbym ta żreć!

Jako i zawdy na śniadanie, przyniosło mu flaszo gorzały z miodem, chliba, słoniny zaś. — Krajeć on chlib, słonino przy ogniu skwarzy, popija gorzałam. Stęko — żali se.

— Piknom je na gembie — prawi — zawdyć ta, jej, pikno!.. To i nie wierom, że śmierć siedzi we mnie, żem je zgubion człek!

Z zydła o ziemię gruchnie. Jo w krzyk. Ze służkom
przypadamo. Jeszczeć ta pójrzy... dycho jeszcze... oo—
paniczko—trup!

Desperowałomci, Boże, Matko Najświętsza, despe-
rowało! —Mgłało—ręce łomało. — Przez Jędrka, co mi
po świecie!.. wołało — wzięni Jędrka, weźta i mię!..
przez Jędrka se mego...

Szarkowo kiedy ostałom?—We trzy niedziel, pani
dobrodziejko. — Tyla, jako i wiecie na zapowiedź trza.

PRZYKAZOWANIE ŚWIĘTEGO PAWŁA.

— We trzy niedziel... no!..

Jo zaro, dnia onego jużem widziało, żešta se pani dobrodziejka zadziwili. — Bez co zasz? — Przez kawalirów było, myśleli pewnikiem.

Hale!..

Żywie mąż jeszcze, a już do mię swaty szłom. I nie z jednych Myślenic... Z Bochni se—z Krakowa—z nad Węgierskiej granicy.

Słuchoć jeno nie kciało. „Nie, i nie“ odprawo dając każdemo.

Bo i dawno se—ooo!—wykalkulowało: Umre Bajduro, za Szarka se wydom.

Najbliźszo somsiad. Wedle moynych, grontu piknego morgów ze szesnaście. Kdowiec — ostać kdowo i jo miałom.

Człek ocytan, piśmienno — zasido w magistracie. Bywało se. Wójskowy—na Węgrzech, we Wiedniu, w Itali-i, kań i nie był, paniczko!.. Bitew — oo — samych wydo cztery i czterdzieści. Wydo wszystkie, zaś i nie do wiary, wszystkie wygro mi! — To i nagrodzon za „waleczność“. — PISOŁ na Myślenice doń sam cysorz, dziękował najbarzej, podarował krzyż. — Żyjom ta jeszcze, co w magistracie krzyż mu przypięni, list on czytali — no!..

Nie wie!.. Jej, Boże, Matko Najświętsza, nie dziękowałbych cysorz!.. Bez Szarka chultaja uczyniło se rewolu-cy-jo; z Italii se naszych wygonili —

Zaś!..

Ładno—ale i ogień w powietrzu, gorko je on kraj. Gorko i ludowino. Prze kochania baby nie żyjom hań. Italjańce przy nożach zawdyć ta — srogie se, zazdrośno... złe!

W Itali-i mieście niejakiem stało wojsko nasze, paniczko. Jazdo ulańsko se. Pikno żołnierz. Z onych ta wszyckich, Szarek — oo!—najpikniejszo.

Rumiano, tłuściutko—jeszcze i tero miło je nań pójzreć. Szlachcic ze Pniowa, zawdy mu powidom.

Ze Pniowa szlachto, wiedzieć wamo trza, rumiano, tego, człek w człeka. Pikno—jej!—Nie gorale, bidoki, co je gorkość a ziąb, dym w chałupsku wysuszom na trzasecko.

Kiebych malowano; zaś, paniczko, zaś; łakomo był — oo! — je i tero na panny... niczem wilk na owce!.. Darzyłoć se szkodnikowi. Pójzry na którym... z miłości mgleje niebogo. Pokręci wása: wzion ci jom zasie—no!

Wielgo nań tedy cholero w mieście, wielgi—oo!—gniw. — Zabić Italjance kcielibych. Nie dajom ta. Zmowo, haj, kobiciny uczyniły. — Zmowo na zmowo, uradzili: Wszyckich wygonim, obwołamo se rewolu-cyjo.

Trzask, dopiro, przask — w dzwony dopiro! — Morte! fuori! w krzyk. Bidne se, czarniawe, z nożami, z za wina, z za muru wypadajom chłopcy Italjańskie.

W pałacu, kiesik u kochanki siedziół Szarek. Nic se bidok nie domyśło. Dzwony dopiro—ciżbo se, wrzawo—jej! — „morte“! jakobyh krzyczól: śmierć! — pałac oskoczyły. Żartów nimo, nie! — Umykoj! — odemkło mu furteczko pani — lo — Boga, umykoj! — Umyko, posłuszność barzo, gna... Pognał ci „nagrodzon za waleczność“. — Nie śmiałybych se cysorz — no?

Dojzry go z okna pułkownik:

— Stój, bratku, co se i dzieje!

Krzyknie:

— Rewolucyjo!

— Bestyje, nie wiesz zasie, bez co uczyniły?

— Nie zgodno se — odpowie — panie pułkowniku.

Hale!..

Dobrzeć ta wiedziół... „Nie zgodno se“ — odpowie chultaj — no! no!

*

* *

Nie zapytacie, ila roków mieli, kiedyśmo, kdowiec z kdowom szlubowali se?

Nie zapytacie, niepytano powiem: Szarek — siedm-dziesiont przez czterech; jo, pięćdziesiont i pięć.

Jużeć nie późnioki. Haj! haj! Czkać se namo nie wy-grano.

Bez to i wesele we trzy niedziel uczyniło.

Wesele, weselisko — jej! — Takiego w Myśleni-cach nie widziół, nie ujzry. — Jeszczeć se ludzie pa-miętajom.

Dwa zjedliśmo barony, wieprzka se całego, cie-lako se.

Masła i syrów, nie rachubo; bab ważno, rożków—oo—miejsko, com je piekło a piekło z kumeczkami.

Ze stoninom byłoć i warzo przeróżno: groch se, kapusto, ziemniaki zasie — no!

Piwa — hale! — ila zekce duszo. — Gorzały dopi-ro — z miodem, i prze miodu.

Niczego nie żałowało, paniczko. Zaś i gości mia-łom—jej! — W dni one, dziw, jako i sporzyło mi krew-niaków, przyjaciół, znajomych!

Choinom pasterki chałupo mi ustroiły piknie. Jo na powitrze z chałupy stoły nieść kazało. Powitrze prze-

pikno. Rżnie muzyko, dudli. Śpiewamo se, hukamo, tańcujemy se. Ażeć se wirchy trzęsom, ażeć i lasy rozkrzyczały — od weseliska mego, aże se i w niebie weselej uczyni paniczko.

Dnia piątego, po wszyćkim se — o! — Pożegnało gości, do alkierza weńdo:

— Boże, Matko Najświętsza — pójżrę na obrazy święte — późno, aleśta i wygodzili, no; — Za wszyćko mi Szarkiem zapłacili!

Weńdzie i Szarek — od tańca, gorzały, jeszczec se pikniejszo.

Juże i po weselisku rzeknie. Imość se tero pogadajmo.

— Pogadajmo se — powiem.

— Cobych ta wędziało popirwysz: jom imości nie Bajduro.

— No?

— Wodziło mię za nos nie bedziesz.

— Onegoć se wodziło?

— „Żono, słuchaj se męża“ — przykazowuje święty Paweł.

— Zaś i przed ontarzem przysięgno, małżonku.

— Bacz se, bacz! po wojskowemu ta krzyknie — imoścín gront, nie imoścín.

— Jakobych ta?

— Nie imościno je, chałupo imościno.

— Czyjo zasie?

— Mojo!.. Psia krew słyszało? — Moje se haj wszyćko!

W pierzyno, jakobych w wodo kamień, gruchnie— uśnie mi zaro — no!

Zmogło — pomyśleć — gorzało. Zaś i gadoło bezeń. Ej, nie!

Z gorzałom, prze gorzało „mojeć se, i moje!“ Pikniej ta jeszczec: — babo, daj piniendzy!

— Kań som jegomościne? pytom. Stówek se macie — jej! — mówiło swatko.

— Długów nie stówek — no!

— Długów se!.. Nie jo zrobiło, nie jo płacić będo.

— Bunt se? rewolu-cyjo? Zaro mi daj! — Posłuszeństwo se wamo przykazowuje święty Paweł.

— Piniendzy nie przykazowuje dać.

— Jo każęc — no!

— Jo zasie nie słyszco.

Jej, pani, dobrodziejko, jej — chocia i somsiad najbliższo, nie znałom. Taki se człowiek zły!.. Taki—oo!—surowiec.

Z pani w służkom, w komornico z gospodynii — cale mię kciał obrócić w dziadówko. — Złomięc — powido!— Najsroźszo — powido chłopcy w wojsku łomało — baby se jednej nie złomięc?

Jo mu zasie: Panie, królu mój, nie złomiesz — nie!

Chocia i niero mgleje serce, umiero jakobych... Bo i ze wszyćkiego najgorszo: w Szarku se, mężusiu moim rozmiłowało — jej!—Boże, Matko Najświętsza, jak barżo i pokochało!

Prze zgody żyjemo se, no! prze wesela. Wyńdzie z chałupy — duszo mi, rzekłbych, wzion. Dłuży se dzień, roboto nie darzy, cni se w izbie, na powitru cni. Bez szybki jeno wyzierom, wzdychom, nasłuchując... Jak nimo, tak nimo. Zjadło se obiad samo, zaś i podwieczcz. Nimo. Idzie zmierzch. Zygor se cyko i cyko, bijeć se, wybijo kwadranse, godziny ta. Schyci, ej, niecierpliwość. Zaświecę latarko, na dziwuchy krzykno: Zgubo se pónđzmo szukoć!“ — Wiarę dacie? — zawdy

se pod ręką znajdzie. Uśmieć se, albo i rozgniewo, no!

W Zielone Świątki lata pirwszego pomnę: cizom se wszyćcy, bawiom ze swoimi... jo, jakobych nie żyło. Z kościoła nie wraco, nie. Żebych ta z kościoła! Kumeczki dawnoć mi — oo! — powiedzioly kań zabawo najmilszo. Pokazoć mu, wezmę se w kiecko szczenięta — zległość mi je w dniu tym suko — na spotkanie póńdo. Przyszło nad Rabo, wedle rzyki chodzę, ku miastu se hań, hań, spoziorom. — Ściany białučko, dymy pod niebiosą bijom ta. — Żałość se, gniw. — Jej! rzeknę — nie dłużyć se przeze mnie, małżonku, przez cie, ino, dłużyć mi se, no! — W wodo gruchnęłom. Było se opodał kładko — szukoć nie kciało — w wodom se: buch!.. Juże po łydy, juże po kolana... unoszę cora kiecko ze szczenięty... Jej, paniczko, jej!.. Z onego hań wirchu, toczył se ku rzyce Szarek. Dojżry mię — w śmiech! — Śmiejęć se ladaco śmieje, aże mu se trzęsie brzuszysko.

Ooo! — kochać kie nas nie kochajom, chorobo se, paniczko, najgorszo. Nie kochał, nie! chocia i żony miłować przykazowuje Paweł święty. Nie kochał. Jo doma zawzdyć ta — on do miasta zawdy. Magistrat... powido. Magistrat! — Kochanko se wyszukoł hań. Młodziutko i ładno.

Zważta, proszę. Do Szarka mię ciągnie — o! — je go se ku onej ciągnie. Na ubiory se pani, gorzały z niom picie, hulatyko piniendzy trza — jo mu nie dają piniendzy

To i piekło se uczyni.

Przysięgniśmo przed ontarzem, dla się go kciało mieć. Nie dawało piniendzy, bo i pod kościół pónić przyszlobyh. Ten-ci grzych jeden. Niechta! — rachujmo se dwa.

We wszyćkiem zasie — ooo!

Z kochania wielgiego, tak baržo, tak do cna zgłupiało, że go, haj, haj, słuchom—folguję we wszyćkiem—we wszyćkiem se: Panie, królu mój!—Chociabych i z gospodarstwem. Zdało—skoro kciał. Ze dwa roki, pani dobrodziejko, ino co wedle krowin, w komorze a sadeczku, nie dozirom se nic, nie czynię.—Wygrało!—Po roli, nie bywałość u mnie, puszczejom se trawy a krze; robotnik roboto zjada swojom; zboże se najpikniejszo, cobych ta rychlej! za hyle co przedaje. Zaś, zaś. Uczono człek, piśmienno, zasido, jej, jej! w magistracie, ino — nie gospodarz. Gospodarza se żołnirko cale popsowało.

Zaś i buchanie... O jako bucha, rwie! — Z piwnicy, somsieków, alkierza... Co znajdzie: ziemniaków, miodu, słoniny, zboża se. Co znajdzie. Rwie mi wszyćko, wszyćkiem se onej wygadzo.

Juże i niecierpliwość biere, jużem se i jęno modlić:

Boże, Matko Najświętsza, z miłowania mego cobych wydobrzało sprawta, z przykazowania zwolnijta, jej, zwolnijta! — Chudobo cobych rozdrapali — nabi-dziłom se tyła! — nie kcę. Nie kcę pod kościół z dziadówki. Służkom być u imości Szarka nie kcę, Boże, Matko Najświętsza — no!

Oo, wysłucho Maryja! — bo i powiedzta sami, nie Matki Najświętszej przyczynieniem, trzask przask, powie mi Szarek:

-- Hale!.. Przy tych wilkach cni mi se już siedzieć... Chałupy i gronta przedom — porządno se w mieście kupię dom.

Że mię szlag nie trafił!

— Chałupo se moja — krzykno — gronta moje przedosz!

— Imościnego nic se tu nimo — krzyknie on zasie—
psia krew zabaczyło?

-- Nie dozwolęć... jo mu dopiro.

On mi:

— Nie gniwoj!.. Nie gniwoj mię babo, — nie kcesz
widzieć jakom je rozgniwon. — Kiebych lew rycząco!

Cobyh ryczeć jon — nie czkało, pani dobrodziejko.
Nogi nie dopisujom, u somsiady wzięno kónia, do ha-
dwokata se w Myślenicach mieście pojechało.

Rozwód, albo i separa-cyjo niech namo daje —
każęć.

— Oo — powido — rozvodu nie bedzie.

— Dajta separa-cyjo — no!

— Z ochotom — ale i zapłacita mi, pani, reńskich
jedynaście.

— Nabywom zasie? — Zbywom se — oo! — jegomość.
— Reńskich co i wyciągacie?

E! — rzeknie — idźta z Szarkiem se na plebani-jo.
Pleban niech zgodo uczyni.

— Ila kce duszo, plebana widujemy, rzeknę, w ko-
ściele. Na plebani-i szukalibych ta jeszcze!..

Rozgniwom se, do dom wróć — no!

W pościeli Szarek. Stęko se. Zabawo u pani zawdy
mu soki burzyło.

Wieta com lekarko. Do głowy mu zwilgło płachetko
przyłożę. Morrisona, cobyh mu krew ostudziło, dom.

Rzeknie:

— Kań i było czasu tyla? — Imość biegało kań? —
Do miasta? skarżyć se małżonka — no?

— Ze skargom w mieście nie był ta późnioczek —
powiem — boć i pana ojca, pani matki nie mamo hań.
Było u hadwokata. Cobyh uczynił separa-cy-jo kaza-
lom. Zaś!

— Separacyjo czynić kcesz!.. brzyćko se — oo! —
zaknie.

— Kniesz... powiem — no, no, bez co zasie? — Nie
wygrano, zbyć żono niemłodo, gronta nielubiono, chału-
po se przy wilkach? — Jegomościnego nie zabirom.
Jako i kciał, swoje wszyćko przedosz. W mieście dom
kupisz porządno. — Z paniom se młodziutko mieszkoć w
onym bedziesz, zabawioł bedziesz kiebych sam cysorz
i król.

Ani „mru, mru“ — myślało ino, że go krew zaleje.
We dwa dni dopiro, rzeknie mi, no!

— Jużęć se, żono, nie klóćmo. Niechta!.. jako i kcesz.
Nic se nie przedom. Ostanieć po dawnemo.

Jo zasie:

Po dawnemo, wierę, ostawiłbych, małżonku, inoć se
żono nie ostawi nie! — Krzywdzi dopiro nas — oo! —
przykazowanie świętego Pawła! — Na chudobie, zdro-
wui, bez one roki dwa, jako mię ukrzywdziło! — Jo słu-
choć mom, Pawła świętego nie słuchosz jegomość — nie
żono, aleć se późniaczka, coć nie przykazano, miłujesz.
Dla niej zbirało, i zbirom; jej wysługując se; dla niej,
poczkaймо nieco, a i z dziadówki siędę. — Haj! haj.

Nie ostanieć po dawnemo, nie! Odmiano kciał —
uczynimo.

Popirwsz: małżonka słuchoć se nie będo. Powtór:
gospodarstwo moje odbirom.

Jej, Boże, Matko Najświętsza! ryczoł lew... Płache-
tek mu trza było, zaś i Morrisona.

Uparto jezdem — przemogło.

Wszyćko se moje, paniczko, piknie na się przepisa-
łom w magistracie.

Zaś!

Pod jednym żywiemo dachem, do jednego zasiada-
mo stołu — jednoć se gospodarstwo, myśleli pewnikiem.

Ej, nie.

Szarkowo i Szarek som dwa gospodarstwa.

Gospodarzyć i on... pracując... Hale!.. Z turbacy-i se
wielgiej.

Kochanko innego poszukało.

Turbacy-jo — gniw. Gniw zasie — nie na niom, nie
na niego — na mię, oo! se. — „Cobyh mi posłuszno by-
ło! — cobyh ta!..“

Cobyh —

Płakałoby, myślę, pani dobrodziejko.

Prze grontów i chałupy, męża, kawusi zaś, barżoć
se na Pawła żaliłobyh świętego...

KRZYWDY SWEJ NIE TRZA
DOPUSCOĆ.

Krzywdy swej nigdy nie trza dopusć, panicko.

Nigdy nie trza.

Powolno je gadzino, a i jom krzywdzić nie zawdy przezpieczno.

Haj, haj.

Cisoń se, wołka mom. Lagodno, pracowito — zło-
to se, nie wołek. Pracowito: wzioeń orać, cy ta do za-
przagu.

Zagony pseorać wzion go z wiosnom Kuba, Mąż
mój, Kuba se. Zły ta cegoś w dniu onym. Bydlok—o!—
najpikniej cyni, on se biere do bicska. Okładoć a
okłado...

Zapłace wó! Oo! łzami, kiebych duso ludzko. Aleć
se i w ziemio wpar — z miejsca nie ruso. Zniwolić
podeńdzie doń gazdo... Rogiem — no! — Zaś i na rogi;
raz, drugi o ziemio... Bodzie, po roli go włócy.

Cisoń! — ksyknę — wołku se mój! — chyciło za ro-
gi — proseć ta, cieloku, prose... Ostawił, no!—posłusz-
no mi zawdy — ostawił, aleć se i potargano!..

A tero: posłuchalibych jako mię, kciał ukrzywdzić
ksiąze?

Som zasie ksiąze.

Kielznom se wołka w południe — Cisonia onego —
psypadnie pasterko:

— Jej, naso pani! po gruncie u was chodom ta ja-
kowiś... Z długimi — oo! — patykami — na onych pa-

pierki myrdajom... Som i Myślenickie chłopcy: sznury
ciągnom, grunta psocom — no!..

Boże, mocny Boże! na groncie onym puscoły se
krze; za casem, las mog se ucynić.

Kuba! — ksyknęło, zaś i samo: trzask przask, w
kiecce, jak było, telepię.

Psypadamo:

— Ludzie — lo Boga! — ludzie, co se i robita?

Pirwszy z brzegu — Talaga se był z Talagowa
powie:

— Księciu jaśnie oświeconemo fosów kopiemo.

W kark nogom bęcneło, aże se przewrócił.

— Gront mój! — Kopać se fosów nie waźta!

Padło na sznury, krając one, panicko, rwę — paty-
ków jeden, drugi obaliło...

Wszyscy na mię: Stój-no!.. Hale!.. Ooo!

Cobych mię bronil Kuba... Stoić se ino — patsy.

Zaksycalo:

Do uzędu biegnijmo — słysys?

Pognali dopiro.

Rety! w uzędzie prośęć ta — wielmożny panie, rety!

Krzywdo se namo dzieje. Krzywdzi — gronta se
zabiro książe!

— Gronta dziedzicne — pyto — cyśta je nabyli?

— Od dziada se mamo, pra-dziada — odpowiem.

Kuba zasie:

— Boga se, Nastko, nie boisz? — Jako nabyli, ro-
ków nimo dwóch.

Pomóg... Roztropno cłek.

Inom zahucalo. Karto mi dadzom. Ważno — jej! —
Z onom — Boże, dziękuję, Matko Boska! — wsyćkich
rozpędziło.

Koniec myślita? — Jesce mię — oo! — posłuchajcie.

Pseńdzie se casu nieco, do Myślenic walom ta: ko-
misorz księcia pana, omentra zaś, sykrytorz zasie, żan-
darów ze sześciu — harmijo cało, proci mnie jednej, ko-
biciny, głuptasika.

Przyńść — oo! każom.

Nicem se nie ulękno. — Ani—ni.

Ulęknie mój. — Legnie w pościel. — Niedobrze mi,
niedobrze!

Jo go za usy:

— Wydobrzej mi zaro! — Słysys?

Pomogło.

Poszlišmo. Co i cynil beedzies?

Inoc mu i słowa nie dali. Gadonie se panów całe
z Nastkom.

Zaś gadonie!..

— Kopce se wase wskaźta! — Ka som wase kopce?

— Becłyć, o becły — rzeknę — wodo potargało.

— Co za wodo?

— Wielgo — rzeknęć — se.

— Ej-no! — ksyknom — powiedoj co wies! — nie
gniwoj.

— Zaś wiem. — Na górze nasej, pod wirch sam,
we wsi Patykwie, babo targało len...

— O Myślenicach czkamo — rzeknom — nie o Pa-
tykwie.

— Bedzie se — mówię — zaro... bedzie. W święto
se targało... Grzech!.. Urośnieć wodo. Wielgo — jej!
Z góry bije na podlesie.

— Kie i było? — spytajom.

— Roków — oo! — ze czterdzieści. — Na podlesie
bije namo: jako se targało len, kopce namo wsyćkie roz-
targo.

— Samoć ta widzieli, imościuniu?

— Widziałom — no!

— Ha! — powie sykrytorz — widziało... cale jesce młodziutko, widziało... ha, ha, ha!

— Śmich zasie!.. Nie udajeć se młodo — starych zapytajcie. Je w Myślenicach na ośmdziesiont, Kołodziejczyco. Jom przyzwijta, no!

Przyńdzie: w bok ujmie se, nogom tupnie babusio:

— Bećłoć, jako i powiedo, bećło!..

Wygrano — jej! — Zwojowało księcia pana.

Wygrano se.

Odsunom fosów — jesce i grontu mi na pół zagona psyłozom.

Zebych nie bronilo, miałobych ta? — Jako cyniom drudzy, zeby se kie baron dało strzyc?

Jako i cyni zawdy mąż mój — oo — Kuba se!

Kces krzywdzić? — krzywdź — mów, zdałobych se, kazdemo.

Chocia i z Rabom.

Bystro — jej! jej! — Złodziej rzyko, bijeć pod gronta—gronta se namo kradnie.

Ucyło, naucalo: zbuduj tamo!

Nie buduje.

— Somsiad gniwoł beedzie.

Lingo, mamu somsiada, Zboja kawoł. Powiedziałom?!.. Zboj se cały, no!

Posłuchajta, co mi zaś ucyni:

Wstałoć dnia onego, nad Rabo se wyńdo. W ziemniakach skodo cyniły pasteze — kciało je ta zeńść.

Raniućko — mgło jesce — po stronie, hań, onej kowanie.

Kuje se ktosik, a kuje.

Lingo pewnikiem. Jego zasie bzeg.

On-ci!

On, i z celadzio, budujom se cosik.

Wołać jęno:

— He-hej, Lingo!.. Jezdem tu!.. jezdem!.. Tu! tu!

Odpowie:

— Miejta se, kumo, piknie!..

— Barżoć rano wstali do roboty! — zaksycało.

— I wyšta nie późnili! — ksyknie.

Jo:

— Budujeta!.. Co se i budujecie?

On:

-- Tamo se. — Jakobych i nie poznało!..

— Tamo!..

Gorziel mi zaleje krew. Dusi—koniecznie kce udusić.

— Jej! ksyce — przecz tamo cynita?

— Wodo — ksyknie — cobyh odganiało!.. Gronta se namo psoci wodo!

— Mnie psocić mo? — Ludzie dopiro!.. Obaleć! — jej! jej — obaleć!

On:

— Piknie se, kumo, poksykujeta. — Obaleć! jesceć-no! — Posłysołbych tu jesce!

Nie posłysoł... Hale!.. Kiecko podjęno, do miasta — oo! — wskok!

Dwa dni pracujeć. W tsecim, zaś, panicko, ludu na-deńdzie praco se jego rozbiro.

Stoi Lingo na bzegu swym, i knie — jej, knie! — jo

stoję na moim, pod boki se wzięno; co brzydziej on zaknie, imostko pokažo.

Taki to chultaj ze mnie.

W mieście usłysało, co ry-gu-lo-wać majom rzyko: tobie ani mnie, tamo se budować niewolno.

Wcas cobych i ucynił, jakom psykazowało, Kuba, ej ciuro se!

Krzywdzić se daje kazdemo.

POWÓJ.

I.

Delikatnym łokciem o poduszki wsparta, piękna, blada kobieta zawołała cicho, jakby w zawstydzeniu:

— Podaj mi go, Franiowa!

Dozorująca panią babusia, w koszuli zgrzebnej, w spodnicy domowego wyrobu, lecz przyczesana gładko, obwieszona paciorkami, ostrożnie z kolebki wyjęła otulonego pierzynką chłopaczka.

— „Ojczulukas, wieczne mu odpocznienie“, w śpiewnej litewskiej odezwała się mowie — zupełnie ojczulukas. Módl się ty, ojczulku, módlmy, oj, oj, pani nasza, za sierotą do Boga w Trójcy jedyne.

Wyciągając ku dziecku ramiona, pochyliła się nad niem pani Róża, lecz i cofnęła nagle — ze łkaniem twarz w poduszki ukryła.

— Zabieraj! — Weź go sobie, Franiowa... O, zabierz!..

— Wolno? — tejże chwili niemal rozległ się głos basowy od progu; skrzypnęły drzwi; woń paczuli nappełniła sypialnię.

— Feli! — zawołała, otrząsając łzy i podnosząc się z poduszek.

— Comment va?

— Dobrze—wyśmienicie. O mój drogi, trud zadajesz sobie... Przepraszam... przepraszam cię...

— „A to jest — dziecko nasz“ — z polska wtrąciła

chłopka, zawahawszy się nieco, lecz i odsłaniając chępliwie różową twarzyczkę uśpionego.

— Precz! — Słyszysz?

Wysoki, o rysach drapieźnych i fizjognomji chmurnej mężczyzna zbliżył się do łóżka żony.

— Że dobrze, i ja widzę. — Infantem się już pani moja zabawia.

— Niemądrze, wiem, ale...

— No, no, nic naturalniejszego. Tłumaczyć się nie potrzebujesz.

Lice młodej kobiety lekkim okryło się rumieńcem; oczy jej błysły; w drobne, wypieszczone rączki ujmując wypieszczoną też i białą, połyskującą pierścieniami rękę męża, szepnęła błagalnie:

— Polubisz go, co?—Dobry będziesz dla niego?— Feli, drogi mój!..

— Będę — twardą stanowczością brzmiał bas jego nieprzyjemny—jakim, jeżeli go doczekamy, i dla własnego syna będę. Jakim — dodał, ściągając brew — jestem dla pana Witolda.

Cichy okrzyk dobył się z piersi pani Róży; rozszerzonymi oczami na męża spoglądała.

Więc to nie przejściowe, nie wywołane krnąbrnością szczególną — więc to był system, okrutne obchodzenie się jego z Witoldem?

— A tośmy się — ha-ha — puszkę mój, moja bez kolców różyczko, tośmy się zaniepokoiłi! — Ojczym—co? — Trudno. Chłopcy będą bogate. A więc i pokusy—hm — i zdwojona odpowiedzialność. Rozpieszczać — uchowaj Boże! — Trzeba to żelazną trzymać ręką. Hartować — podoba się, czy nie, Ziuziu moje złote — hartować.

— Może i słuszność masz — powiedziała, zachwia-

na już, nadewszystko zaniepokojona, że mu się przeniknąć dała.

— Tak, słuszność mam. Krzywdzisz, osobistą, jeżeli przypisujesz, niechęć. Uwielbiając Wenus moją, uwielbiam w duchu i jej dzikiego, ha-ha, co prawda, mocno, myślę, nienawidzącego mię amorka. Ambitna sztuka. Nie martw się, ja to lubię. Nienawiść do mnie tryska mu przez pory. Ot, co.

— Och, miły, zdaje ci się, zdaje... Feli, kochanie, przed chwilą coś ty powiedział?... Lubisz mię? — Trochę, troszeczkę... Tak dawno już nie słyszałam... Nie obrzydło ci Ziuziu biedne, maleńka twoja, twoje...

— Oczu nie miałbym chyba — rzekł z wyrazem szczerości, wzrokiem pochłaniając łakomie kształty jej toczone, twarz wypiękniała pod wpływem wzruszenia, włos czarny, czarne, blasków pełne, oczy. Pochylił się, rączki poszukał ustami.

Porwała dłoń jego, a cisnąc ją ku piersi, pod batystem i koronką falującej silnie: Dobry! szlachetny! — z wzrastającą wołała egzaltacją — a ja myślałam... to dziecię — oblął ją rumieniec po szyję — obawiałam się, obawiałam, że...

Piła dopiero. Z krwią arabską w żyłach, tam u płotu Sułtanka jego rzy. Wcale nie był w wenie prawienia andronów. Piękna jeszcze. Jeszcze fatalne. Słabuje przytem, a i djablo nudna. — Zaszczękały mu w wyobraźni nagle sierpy, pracujące na jego polach. Zaświeciły oczy Marcysi przodownicy. Sam kwiat! — Rzepka nie dziewucha. — I wcale nań mile spogląda. Zna się na tem przecie. Zerka z pode łba, ząbki ukradkiem wyszczerza — he-he!

Rżenie rozległo się znowu. Drgnął, i ściągnął brwi. Dojrzała w lot:

— Jedź jedź! — wyjąkała, opadając na poduszki — nie zatrzymuję... skarbie mój, moje ty wszystko!..

Nic, prócz przygłuszonego szumu drzew,—cisza głęboka zaległa po chwili sypialnię.

W cieniu białej firanki, pod okiem kobieciny, w palcach namulonych, przesuwał się ziarnka różańca, spało dziecko spokojnie. Spać zdawała się i matka. Nie spała wszakże. Myśl jej w przeszłość odbiegła.

Przed laty dziesięciu — dawno, zdałoby się, i niedawno — w tymże pokoju — wianek, suknia ślubna.

Wydano.

Nie, to niepojęte... Młodziutką taką, ojczy, mamciu, pocóż ją wydano?

To jej biedactwo, szalał wprawdzie, zbyt natarczywie dobijał się o nią Ludwiczek... Ale i można było wywijać się, odkładać — wykręcić jakkolwiek. Od czego dyplomacja?—lat późniejszych doświadczenie i powaga?

Nie wyznała im wprawdzie — Lulu wybaczyć! — że się go boi, że doń chwilami doznaje coś nakształt odrazy. Nie wyznała, nie. Byłoby to za szorstkie, za bezwzględne... Domyślić się powinni byli. Od czego serce matki, ojca przenikliwość.

Bała się. Tego jej pocziwego Lulu, o jakże się bała!

Byłóż to przecucie?

Bo i wkrótce już światem jej stał się całym; ona mu zaś rzeczą i cieniem.

Charakter — nierówny trochę. Poznawać więc — od rana do nocy przewidywać, stosować się, zapobiegać: z przed stóp kurze zmiatać...

Męczące trochę... ale i zapełniało życie, we własnych oczach podnosiło.

Nagle — ten cios.

Gdy sztukę dogadania mu prawie już posiadała... prawie...

Zadrżała — otwartemi naraz oczami błędnie rozglądając się dokoła:

— Modłę się, co dnia za ciebie. Mszy co czwartek występuję. Odejdź, nie dręcz mię. Czego ci trzeba jeszcze, mój skarbie?

Mars na czoło i wyrzut w spojrzeniu... Nachodzi wciąż...

Lulu, moje ty wszystko, uwzględnijże — bądź dobry.

Nie chciała, nie! — Spazmów nawet za pierwszą dostała wzmianką.

Ale i uparł się Feliks. — Gorzej, ach gorzej, bo się i Fela stryj, sam ksiądz kanonik uparł! — Ten taki przekonywający, wymowny...

Oszołomiono ją, otumaniono — ani poczuła, jak się znowu znalazła na ślubnym kobiercu.

Z ramion dębu zerwana i w wicherze bez oparcia drżąca, biedna powoju gałązka...

II.

Trzeci to już raz w ciągu kwadransa pani Róża powracała z kuchni.

Pierwszy raz, talerzem przykryte, przyniosła parę upieczonych świeżo kurcząt.

Drugi raz, jajka na miękko, w serwetę otulone starannie.

Za trzecim razem, zarumieniona i z błyszczącymi oczami, stos dopiero co upieczonych biszkoptów.

Wśród okrytego adamaszkową serwetą stolika,

ustawiwszy to wszystko, przysunęła doń fotel, oknem wyrzała:

— Pora już.

Wzięła się do naparzania herbaty.

Wzięła z drobiazgową ścisłością, parząc ją pod przykryciem, w srebrnym, wykwintnej formy imbryku, spoglądając na zegarek.

Tuż rozległy, śniadaniem gorącym zastawiony stół zdawał się licznych oczekiwać biesiadników.

Z kilkorga dzieci najmilsza Feliksowi Dorcia, kilkolatnia, kręcąc się po sali, jak fryga, zasypywała matkę pytaniami.

— Bolek i Witold synowie nie nasi, co? — Bolek, czemu on czytać nie umie? Ten petytor czy tu siądzie, mamciu?

Pani Róża odpowiadała z roztargnieniem rozgorączkowana, zaniepokojona, czy też czego nie brakuje w zastawie.

Drzwi się otwierać zaczęły raz po raz, dając wstęp figurom, dziwnym nieco, do zbytku parafjańskim.

Wzięto się do całowania rączki, suwania krzeseł, szastania nogami. Wśród szczęku szklanek i talerzy wnet się też głosy podniosły pochwalne:

— Ten wasz Maciej, szanowna pani Feliksowo, do-brodziejko, urjańska perła wprost! — Ze zrazami takie-mi, jakim pocziw, spotykało się jedynie u Tyszkiewicza Benedykta — i to, ha-ha, przed laty.

— Gosposię to raczej admiraować... Róziu, chérie, cóżto za maselko!.. Aż pachnie.

— U naszej pani, jak za króla Sasa, tylko że, at, braciszku, nie popuścisz, bo i nie masz pasa... rubasznie zaśmiał się imć Suchodolski.

Krzyński śmietankę do herbaty lał, cukru dobierał:

— Mnie w domu imość mleczkiem od siwej krowy poi... mnie póndziu, w domu wolno tylko z kawalczkiem.

Spojrzeniem baczem powiódłszy dokoła, Zarucki dłoń ostrożnie ku walającej się opodał papierośnicy pana domu wyciągnął.

Było to Feliksa towarzystwo ulubione. Zgraja próżniaków i darmozjadów, dopomagająca mu do trwonienia funduszu pani Róży, jedynie mu już pozostałego funduszu.

Kogo zaś lubi Fel, tego i Ziuziu lubi. Ach, tak. Toćże małżonków zgoda rodzin błogosławieństwem — ostoja społeczeństw.

Zgoda — o! — Uległość wszędzie i zawsze kochankowi.

Szczęśliwi są bardzo.

Kłaniała się, uśmiechała. Wtem uśmiech znikł, oczy głęboką wyraziły troskę.

Na śniadanie, co za dziwactwo! nie raczy i dzisiaj, nie, Witold z tym swoim korepetytorem, tak ponurym wiekuiście, słuszność ma Fel, że jest wywrotowcem, socjalistą zapewne.

Od śniadania stronią, przy obiadach jedzą jakby im kto skąpił. A te ironiczne spojrzenia, ust zacinięcie gorzkie — te zniecka uwagi zjadliwe i rysy przedczesne starości na Witolda, owianej zdałoby się puchem dziecinnym twarzy.

Wszystko to (przydać Bolka tępość niesłychaną) wszystko jej męża biednego denerwuje, drażni. „Dzieci nie nasze“ — wyrwało mu się kiedyś, i owóz srocza Dorcia rozgłasza, powtarza...

Lecz i skrzypnęły drzwi... Porwali się goście, śpiesząc na powitanie pana domu skwapliwie, uniżenie. Do ramion przypadając, dłoń z poważaniem ściskając głę-

bokiem, spojrzeniami z pode łba twarzy jego śledząc wyraz.

Wyraz — oj, źle — kwaśny.

Miarę bo przebiera niecnota żydzisko. Trzydziesty procent, słyszeliście państwo? — karczmę w zastaw mu jeszcze... Co począć?.. Na gardle nóż...

— Nóż na gardle?.. Jakże to, jak?.. Póńdziu!.. Mości dobrodzieju... wołać jedni przez drugich zaczęli.

— Pyszności kocz... Mnie pierwszeństwo zostawił Komorowski... Nie stanę—saprishi!—zdmuchnąć z przed nosa gotowi.

— Ale nie zdmuchną, dobrodzieju nasz! — Staniesz, mocibdzieju... Górą nasz pan Feliks!.. wszędzie i zawsze górą!

Rozchmurzał się, rozchmurzał, lecz i brwi ściągając nagle:

— A moje krople... sarknął na żonę.

Drgnęła — bez tchu z sali wypadła.

Z rękawów przykrótkich wyszarzanej surduciny wyciągnął Zarucki żylaste, w pięść zaciśnięte ręce i wytrząsając nimi w powietrzu:

— Hirszowicz — zawołał — co? — A szelma, jak Bozię kocham, żydzisko! a łotr!.. Ależbo i, panie Feliksie dobrodzieju, dodał, ton zmieniający nagle — Zaruckiemu słówko, słóweczko należało rzec... Z pod ziemibym wy dostał!.. jak Bozię kocham. — I od swoich. — W pazurkibyś mi jeszcze dozwolił lichwiarza, łaskawco.

— No, no — nie blaguj.

— Niechże mię jasne!... jeżeli blaguję. Ot, i wczoraj, w miasteczku słyszeć się dało, nasz ksiądz altaryzysfa...

— Pudło. — Stary kutwa nie pożyczca.

— Nie o niego też... Księżulo, in extremis...

— Bagatela. Dziad blisko stuletni.

— Dawno mu się — ho, ho — mocibdzieju należało.

— Ale i spadkobiercą jego, saprishi, nie jestem...

Cóż więc?

— To, że rączką ciepłą Sobolewskiemu, Smogorzewskim...

— Aa!

— Szlachta pewnej szuka lokaty.

— Że się takowa znajdzie, spryt cię nie zawiódł?.. szepnąłeś?..

— Jak Bozię kocham.

— Toś chwat! — rozweselony, tem więcej, że flakon z kroplami dawno był już na stole, Feliks pokręcił wąsa.

Przegiął się nagle, chichotać począł Zarucki. Śmiał się aż trząśł — z oczu łzy mu leciały.

Wiedziano co to znaczy... No! no! — zachęcające podniosły się głosy.

— Pękać ze śmiechu, jak Bozię kocham. Wścieka się Sobolewski.

Chrapkę miał na dworek, a tu księżulo, ani rusz. Ekscypuje sobie. Do cna obrali, chcieliby to jeszcze. Płacze więc, chlipie — hu, hu — łez krynica. Sobie, domek, i z ogrodem ekscypuje.

Zaśmieli się wszyscy, raczył uśmiechnąć się i Feliks.

— Przyznaj, bratku, żeś wykonceptował.

— Ja?!.. Wobec pana mego i łaskawcy—śmiałybym?

Laurów sąsiadowi pozazdrościł pan Djonizy. Policzki nakształt miecha wydawszy, zgiąwszy palec wskazujący, wybębniać na improwizowanym bębnie począł nuty jakieś głuche.

— Wybornie! — doskonale! — Rozumiemy.

— Z ziemi włoskiej do Polski! — No, tak.

— Mylicie się, póńdziu, to jest „Wacht am Rhein“.

— Sapristi, drwisz, póndziu, czy o drogę pytasz?

— Niechże, panie mój osobliwszy i łaskawco, niech poświadczy Wolff. Bismarkiem znudził mię bestja Niemczyisko, w odpowiedź wydałem policzek, mazurka mu rznę. — Was? Was? — Wacht, póndziu am Rhein. — Bei Gott, dziwnie to jakoś wygląda. — Bo i w przekładzie powiadam na polski. — Ja wohl. — W cześć Wacht am Rheinu pękło z parę buteleczek węgierskiego.

— Na koszt niemieckiego patrioty — co?

— Nie, na mój, póndziu. — Prusak pijawka niech płaci.

Pobrali miljardy.

Śmiech znowu, oklaski. — Pani Róża odetchnęła. Fel kochany całkiem już swój dobry odzyskał humorek.

III.

Scenka domowa. Zajmujące intermezzo w życia wiejskiego, jednostajności nużącej. Przyszło do starcia między ojczymem a pasierbem. Kawał skandalu—co?— Pan Feliks, gorączka, ciał szpicrutą Witolda w twarz.— Dobrze mu tak, pyszałkowi,—mrucał imć Suchodolski. — Horror, abominacja, siwiejącemi potrząsając loczkami, cichutko, ale i wzdychała panna Aneta — młodego chłopca tak pokieraszować!

Zajścia przyczyną stał się mały Władzio. Tenże miły chłopak, co lubił do szaleństwa jeździć na karku sieroty Bolka, rączki mu w czuprynkę zatapiając, i w boki młóć nóżkami. Reszta dziatwy: „Pechciu, na prawo!— Hau, hau, w galop! — słyszysz Pechciu?“ — krzykiem i podjudzaniem wtórowała swawoli. Wraz z Feliksem, autorem przezwiska „Pechcio“, z wyżyn ganku przyglą-

dający się temu gościu, uśmieli się nieraz. Co do pani Feliksowej, od rana do nocy sprawami niezmiernej pochłonięta wagi, nie miała czasu na wglądanie w igraszki dziecięce.

W malcu wszakże budziła się ambicja. Co znaczy tępy, niepozorny jego „Pech“ wobec „Czerkiesa“, co pod panem Feliksem tak wspaniale kłusuje, galopuje? Owego dnia feralnego: Hopa! na duży cel!.. Na, na duży!... drzeć się począł w niebogłoty. — Sam tu! — huknął Feliks na chłopaka, co konia już odprowadzał do stajni. — Boże, — jękała, dłonie składając, pani Róża. — Stwierdziwszy spojrzeniem z ukosa jej bladeść i drzenie, tem skwapliwiej podsadził dziecię na siodło.

— Uzda z ręki, lecz i pilnować mi panicza, gamoni! A ty, uszy do góry! — Prosto, prosto siedź! — Grzywy się trzymaj.

Koń był spokojny i wytresowany, niemniej widowisko w rozsiadłej na stopniach ganku publiczności budziło pewnego rodzaju dreszczyk. Tem więcej, że dziecko poczynalo grymasić. Grzywę koniowi rwało, uderzało po siodle nóżkami. — Wit!.. Wita!.. Majcin, bee!— krzyczało, niecierpiące stajennego, i na widok wychylającego się z ogrodu Witolda.

„Wita?“ — Nieznośnego upokorzyć młokosa, w to i graj Feliksowi.

— Do Włodzia!.. zagrzmiał. — A nuże, bywaj, marymontczyku!

Witold w milczeniu zbladł. Spojrzenia ich się skrzyżowały.

— Cóżto? — Nie słyszysz?

— Owszem, słyszę.

— Za uszy mam cię przyciągnąć, smarkaczu?

— Mości stupajko, sprobój.

Gwizdnięcie szpicruty, ale i przenikający pani Róży: Włódzio mój, Włódzio — krzyk. Spłoszony gwałtowną w pobliżu sceną, koń uwolnił się od maluczkiego jeźdźca, i z grzywą rozwianą ku stajni pomykał. Na zwirowej drodze dziecię leżało bez ruchu i głosu, mniemaćby można — bez życia.

— Syna mi zabiłeś... rzekł Feliks, szpicrutę ściskając i w ziemię patrząc ponuro.

Włodziowi... rzucił pasujący się z sobą Witold — nic... nic mu nie będzie — ale i traci... ha, syna straciła dziś matka moja!..

Jak oszalały, rzucił się w zarośla ogrodu.

Nic się istotnie Włodziowi nie stało. Zaniemiał na razie, lecz i w bek tem silniejszy niebawem uderzył.

Utulono — uspokojono. — Poszło z tem większą łatwością, że malec był dumny z przygody.

O ile rad był ze swojej Feliks, to przez cały ciąg wieczoru opryskliwością zdradzał zdwojoną. Daremnie były prześlagałne, pokorne uśmiechy pani Róży, stolów ponawiana i nienaganna zastawa, dziwnie świetny tym razem turniej dowcipów, dykteryjek... Stało się, ach, stało!.. Gdy czasu wieczery podniecając się i z mniemanej ochoty śmiano się, nogami tupano, w amfitrjonie wściekłość wybuchła nagle. — Bodaj was! — o stół grzmotniejszy pięścią, grzmotnął krzesłem o ziemię i za próg wyleciał. — Za próg? — Ejże, niebawem i z domu. Gdzie, dokąd — o tej porze? — Jak wieczoru letniego błyskawice, krzyżowały się uśmiechy, spojrzenia.

Markotno się zrobiło biednej „Ziuziu“. Męża omal, omal nie skrytykowała. Na szczęście, widok żwawo kędyś tam w kącie poruszających się loczków inny myślom jej nadał kierunek. Właściwego winowajcę, chłopca przypomniał zbuntowanego, co z kwitkiem Anetę od-

prawił, pić nie chciał herbaty przez matusię przyrządzonej własnoręcznie. Ostrożna, grzeczna, lecz i należy się admonicja Witoldowi. Obejrzawszy się, czy jej kto nie śledzi — do zarzucenia miałby może Fel — na piąterko pomknęła do syna.

Miotany żalem i gniewem, utrwalający się w wywołanym zniewagą zamiarze, długo się Witold po parku błakał. Za powrotem, i gdy uproszony kolega do wsi ruszył o konie, zajął się układaniem tłumoczka.

W Ameryce, lecz i na własnym, polskim pracujących zagonie, miał stryja, bratanków. Przez postronnych wtajemniczeni w zatrwajający stan interesów pani Róży i smutną sierot po Ludwiku dołą, wzywali go niejednokrotnie. Wahał się. — Bolała myśl rozdziału z rodzeństwem i matką. Wydawało się rodzajem odstępstwa rzucać ojczystą, na pastwę doświadczeń ciężkich wydaną krainę. — Pięść brutalna ojczyma rozstrzygnęła. — Za ciężkiem stawało się jarzmo. Jątrzona ustawicznie, w nim samym za bardzo już kipiała krew. Podzwaniająca kluczami i pocąca się przy rondlach, w ojczyma służebnicę obrócona matka, w stosunku do niego i Bolka za bardzo już stawała się cieniem, parodją matki.

Taż, matka, co ducha nad nim ronila przed laty. Z ojcem spółzawodnicząc. W jedynaku swym rozkochany był szalenie.

Ona zaś — i tam, jakże była uległą! — któż wie, do męża ona i wówczas, czy nie zastosowywała się tylko?..

A wtem, pukanie obcasików, szelest u drzwi. — Czy liżby Aneta znowu?..

— Kto tam? — zawołał gniewnie. — Któż tam jest u licha?

— To ja. — Otwieraj Wit. — Ja, Witka mamusia.

Drzwi się rozwarły z impetem. — Mamo!—Z impetem porwały ją ramiona młode, silne.

W porywie nagłym radości, zaufania. Ten tkliwy głos odcień, słoweczko z dawnych lat — nie wyrzekła się go, nie! — Duszę w nim wzburzoną, któż wie, może i postanowienie odczuła. Wbrew tyranowi swemu ze słowami pociechy, spólczucia nadchodzi.

— Matuś!..

Usta w jej przepojone perfumami koronki utopiwszy, garnął ją, ścisnął, tulił.

— Jesteś, jesteś — nakoniec!

— Nie, Wit — we włosy zwichrzone rzuciła mu parę pocałunków — że późno, nie, kotku, ty mi nie wymawiaj. — Tamte biedactwo moje zgryzione, złe... Serce się wprost kraje... Uwalniając się z objęć, siadła na kanapkę. — Męża odstąpić nie mogłam.

Klęknął przy niej Witold, lecz i w głowie mu szumiało. — Tamten, tamten — biedactwo! — Złudzenia rozwiła wnet, wierność pośpieszyła zaznaczyć swoją. — Ach nie wie, że to już chwile ostatnie!.. Matka z synem, że się rozstają być może na wieki. — Ucałował kolana.

— Przepomniałaś mnie sobie matuchno. — I to wiele. I za to bądź błogosławiona.

— O Wit, jam cię przypomniiała dużo pierwej. Anetkę jam ci to przysłała. No, no, mimo latek powiadam ci: messenger d'amour. Z tacą na górę także mi się zgrabnie wymknęła. Nie postrzegł nikt. Ale mi herbatkę odesłano — nie? — Nalaną własnoręcznie, a i różności przydałam. — Kotuś mój niedobry.

— Jakżeś i mogła pomyśleć!.. Mamo, zniewaga... taka... po takiejże zniewadze... jakżeś i mogła... głos mu się załamał.

— Zniewaga?.. Przykrość—no! — Chcesz, i duża

przyznam. Ale brać w ten sposób.. nie! nie!.. Od ojca do syna... nie!.. Zresztą...

Powstał. Szrama się mu na twarzy pobladłej zagogniła.

— Zresztą — powszedni chleb. Oswoić się mogłem. To miałaś na myśli, mamo?

— Ach, kotku, nie dramatyzujmy. Siadźże tu przy mnie. Pogłaskać się po tej główce niesfornej, popieścić daj mamusi. Kto winien, osądź sam.

— Poco? — Tyś już osądziła.

— Nie, dziecko — z podziwem nań spojrzała mimowolnym — w głowie mi nawet nie powstało, żeby się względem Feliksa... żeby się ktoś ośmielił do tego stopnia... Oporu, a jeszcze zuchwalstwa powinieneś być pamiętać, nie toleruje Fel, nie znosi — powinieneś był...

— Przekleństwo mu! — wybuchł Witold wzburzony do głębi. — Och, żeby nie twój krzyk, nie wypadek z Włodziem!.. Jabym... jabym się z nim raz przecie policzył... Przeklęty!

— Przeklinasz? — oczami rozwartymi szeroko pani Róża spoglądała na syna — złorzeczysz, przeklinasz — cośmy ci uczynili, Wit?

— Wy? — Jeżeli od lat najmłodszych burzyła się we mnie krew przeciw temu człowiekowi, to za ciebie, mamo — przedewszystkiem za ciebie!..

— Co to?.. Głowę stracić można...

— Ciebie w tej poniewierce... sługą jego i cieniem... wybacz, ale i boli, okrutnie, boli, matuchno.

Cofnęła się, chmurząc brwi, ściągając fałdy szlafroka.

— Czem jestem, jestem dobrowolnie.—Mnie i Feliksowi uchybiasz.

— Nie, mamo, nie dobrowolnie. Tyś niewolnica, jak

i wszyscy, prócz niego, w tym domu. Najdzikszym jego fantazjom ulegać, śmiać się i płakać, kochać i nienawidzić „wedle rozkazu“. Despota okrutny, bezwzględny! choćby najwięcej oddane sobie serca rozdzierać miał — choćby kaprys jego najcięższą z krzywd, najdzikszym z przymusów na cudzem zaciężyć miał życiu...

— Frazesa — rzekła, przybierając ton chłodny i pański — frazesa, którym zaraził cię prawdopodobnie ten twój głodomór, ten, dobrze go Fel nazywa — głos jej drgnął rozdrażnieniem — panicz od spartańskiej polewki... Krzywda i przymus, łamanie życia, rozdzieranie serc... chciej wskazać... bo i nie widzę... nie widzę...

— Tak, mamó? — A więc, nadewszystko, sprawa — zawahał się, oblał rumieńcem zakłopotania i gniewu — sprawa, którejby nie poruszał, żeby nie pewność... Doniesiono ci — nie? Tajemnica publiczna... Wiesz, o wszystkim, wiesz.

Z rozbłyśniętymi oczami porwała się z kanapki.

— Rzecz moja. Zakazuję ci! — Słyszysz?

— Twoja, słusność masz, lecz, matko, i nasza krzywda w tem, zniewaga. Ty świętość nasza, ukochanie, poświęcona...

— Och, zbytek łaski! — Wypraszam, o wypraszam sobie...

— Chwilę ludziłem się — ciemne oczy Witolda napełniły się powstrzymywanymi gwałtownie łzami — roilem, że mi wracasz, mamó. Jestem w wieku, w którym ująć się, czy pomścić, w każdym razie służyć już mógłbym tobie. Ale ty mię odpychasz. Prawda, że i w roku zeszłym, gdyśmy się z ojczymem — prawda...

— Ach, otóż i „Prawowiedzenie!“ — Rozdrażnienia powód. — Przyczyna, dla której całe nam zeszłoroczne zepsułeś wakacje!

— Buntu mego i wstrętu przed wami nie tailem. — Do Dublan rwała mi się dusza. — Liczyłem na ciebie. — Aleś ty, ty, matko, po jego stanęła stronie.

— Sprzeciwiać się miałam? — Onże lepiej wie. Nie, Witku, tyś szalony. Sam powiedz.

— Szalony. Poprawię się wszakże, poprawię — bądź spokojna. Z ojczymem w zatarg nie wejde; nigdy wam już więcej nie popsuję wakacji. Wzamian proszę, więcej, mamó, błagam — ja się oń z czasem upomnę — ale i serca nieco daj Bolkowi, zwróć uwagę na Bolka. Oglupiają mi go, znikczemniają...

— Feliks, naturalnie. Pogódź się z tem, wiesz? — Synowie zostawać muszą pod kierunkiem ojca.

Zwracała się ku drzwiom.

— Pozwól się zapytać...

— Ach, i cóż tam jeszcze?

— Wiadomy ci stan interesów twoich?

Zmierzyła go spojrzeniem z góry.

— Interesa nasze nigdy lepiej nie stały.

— Wglądasz w nie, mamó? — wiesz co podpisujesz?

— A to niesłychane. Niechże mię już nie nudzi Wit.

— Wybacz. — I żegnaj mi, mamusiu moja, żegnaj! — z jękiem rzucił się ku odchodzącej.

Szum szlafrocza, obcasików stuk, z krótkim „do widzenia“ znikła za drzwiami.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

POWRÓCIŁ.

Z październikowej szarej, smutnej mgły, wychyla się ku mnie starzec zgarbiony i długi. Czaszkę ma obnażoną; pasmami spletanemi broda siwa na pierś mu opada; kij sękaty w skrzyżowanych rękach wychudłych. Wlepia we mnie, zdziwioną, wzrok uparty — odziany letnio, drży. — Z chłodu, biedaczysko, myślę: dowiem się wkrótce, że i z głodu.

— Jestem Wasilewski. Wspomódz proszę. Z rodzicami pani w więzieniu siedziałem.

Uśmiezek przebiega mu wargi zsiniałe.

— I z panią...

Wasilewski!..

O lata i lata, całe lat dziesiątki, cofa mię nagle wyobraźnia.

Jako członek miejscowej administracji (w kowieńskim więzieniu, tak zwanej turmie nowej była tam osobna taka swoją) snujący się wszędy, niegdyś wesóły a mówny. Wzrost i zwinność górala, przy myślącym czole, żywym oku szafirowem. A i krew z mlekiem, chociaż rok już drugi siedział za kratą.

Na to zejść... czas i przeznaczenie, gdy się uwezma, do czego też doprowadzają człowieka!

— Niechże pan wejdzie, proszę.

Usadowiwszy go w saloniku, podać kazałam natychmiast śniadanie.

Rzucił się na nie łapczywie, z jękiem niemal powtarzając:

— Trzy dni ani rosy w ustach... trzy dni!..

Zarumieniłam się za społeczeństwo swoje — serce przejął żal niewymowny.

Co znośniejsze, gdzieś tam w stepach Syberji gorzki chleb wygnania, czy śmierć głodowa między swymi?

Gdy się już nasycił, odpoczął, rozpytywać zaczęłam o koleje życia.

— Ukończywszy nauki, chłopak niezamożny, obrałem sobie zawód nauczycielski. — Zawód, na który, w domu państwa Św., dokąd mię los na początek zaniósł, uskarżać się nie miałem powodu. Do moich dwóch uczniów, moich niemal rówieśników, przywiązałem się był szczególnie. Były to czasy, pani wie sama, dziś ha, niejednemu dziwne wydają się, szalone, a jednak, jednak!.. dziwne, szalone, lecz i piękne — dla niejednego jedynie szczęśliwe na ziemi.

Powstanie ogarnęło Litwę całą. Chodziły po ustach nazwiska dowódców, krążyły wieści o snujących się zewsząd oddziałach, o awanturniczych napadach, walkach wytrwałych, bohaterskich. Wrzała nam w żyłach krew — myśl się na przymusową bezczynność burzyła — wtem, Dłuski. — Słyszeliśmy o nim, że walczył pod Birżami, w Szawelskiem walczył, teraz do Rosieńskiego nadciągnął powiatu. Wykradliśmy się — z partją połączyli.

— Z partji Dłuskiego... doprawdy!... nie mógłby mi też pan o Popielanach cośkolwiek powiedzieć?

— Nie byłem pod Popielanami. — Właściwie, krótko bardzo w oddziale, no, i w samymże powstaniu byłem. Wkrótce po zaciągnięciu się naszym, po zapowiedziany transport broni, ruszył oddział ku granicy. Szliśmy lasem wspaniałym, co się wówczas, na przestrzeni mil czterech, między Jurborgiem a Taurogami ciągnął,

Mówię: wówczas — świetności dawnej pozostało już tylko wspomnienie. — W owym to lesie napadnięci, musieliśmy stoczyć potyczkę dla nas niepomyślną... Mnie cięto w głowę — ot, blizna. Żeby ręki silniejszy nieco rozmach, zostałbym na miejscu. Ale, nie! — Kielich mi przygotowany, pić go miałem do dna. — Unieśli towarzysze, w domu znajomym do wyleczenia się zostawili. — Młody i silny, względnie szybko wróciłem do zdrowia. O upadku sprawy zewsząd wszakże dochodziły wieści; w pobliżu oddziałów powstańczych nie było. — Uroilem, że, udawszy się do stryja, byłego majora wojsk rosyjskich, tam się bezpiecznie przechowam. — Przyjął mię stryj z otwartymi ramiony — w miesiąc parę wydany zostałem przez jednego ze służby. — Na nieszczęście, wśród naszych rozeszła się była wieść, że nalożył głową. To i owo składać dopiero na mnie!.. Szubienicą i ciężkimi robotami grożąc, że trzy lata w komisji dręczono śledczej — ostatecznie, do gubernji Tomskiej na osiedlenie zesłano.

— Na osiedlenie? — Wzięci z bronią w rękę na katorgę, o ile wiem, bywali sądzeni.

— W pierwszym roku, tak. — Lat następnych wyroki były już łaskawsze. Łaskawie osądzony, niemniej zgubion, posepniejąc dodał, zgubion ostatecznie.

O tem, zresztą, co i jak mi się tam działo, wolę — zamilczeć.

Wróciłem na Litwę, roku, tak, 1905. — Tęsknota sądzi pani, przywiązaniem powodowany do ziemi rodzinnej? — Wiem, że zapewniłoby sympatję, ale i wmawiać nie będę. Lat kilkadziesiąt poniewierania się, włości... nietylko ciało, duszę mam, jak łachman zdarta... Wróciłem dla żeru, gdy mi go u obcych, z powodu że

Polak, odmówiono. Gdy mię, po latach służby z granic matuszki Rosji nogi wyrzucono kopnięciem.

Młodym i pełnym energii oddała mię Litwa — sterranym odebrała. Nogi brzękną, dusi nocami kaszel, siły opuszczają. Bakalarzować mógłbym jeszcze. To, jedynie. Czas jakiś próbowałem. — Ukaz 15-go października — złote chwile — błysk swobody... Otwarto mi oczy, ściągając niebawem pięć rubli kary za „nauczanie tajne“. Otwarcie uczyłem, niczem więcej nie uczył, jak czytać i pisać po polsku. Nie podobało się to — miejscowym. Swoi zaskarżyli.

Swoi z nałogu mówię. Gdyśmy na wygnanie szli, szliśmy z najgłębszym poczuciem, że Litwa i Polska — siostry nierozdzielne. Rozdział nastąpił i — straszny. Co to jest? — Za naszych czasów nikomu się ani śniło.

— Pan mówi — nikomu. — A Rozen? — Wywodzący się z Kawalerów Mieczowych, czem lubił przechwalać się, baron von Rozen? — Pierwsza aspiracji nowych jaskółka. Niemiec pochodzeniem, kulturą Polak, patriota litewski z wyboru. Litewskość swą zaznaczający noszeniem — nawet i zimą — łapci. Po dziedzincu więziennym, wśród śniegu, jak w nich dreptał pociesznie.. Przypomina pan?

— Ha, bawiła... nie przeczuwaliśmy, jakiego rodzaju wiosnę śmieszna zapowiada jaskółeczka. Było to zjawisko całkiem wyjątkowe, dziś, sprawa, niema co, przedstawia się poważnie. Kto jej początek dał? — Ktoś wpływowy chyba i władny. Ktoś, kogo pod korcem nie schować.

— Ten „ktoś“ odrzekłam, to, zdaje mi się, w pierwszym rządzie my sami. Poeci, literaci nasi, Mickiewicz, Kraszewski, Syrokomla... Wyśnione, poetyczne przeszłości pogańskiej obrazy, w którejto przeszłości z cza-

sem duchowieństwo katolickie do najwyższego rozkochało się zacierzwienia. To duchowieństwo pochodzi obecnie prawie całe z włościańskiego stanu. Wraz z odrębnością narodową, uprawia i klasową nienawiść. Słyszałam, że Litwini za jednego z głównych swych apostołów uważają biskupa Macieja Wołłonczewskiego. Biegły to był podobno teolog, ale i dziwak z wybryków prostaczych po całej Litwie słynny. Nie skrywał on zamiaru obniżenia umysłowego poziomu po seminarjach. „Mądrali nam poco? — prostaczkami, ojcieńku, byli apostołowie“. — Niestety, wszakże, prostaki Chrystusowe miłość, braterstwo głosiły, gdy wyprodukowane przez Wołłonczewskiego nieprzystojną wprost żyją, oddychają nienawiścią.

— Powiadano mi, że rolę niemałą gra tu jeszcze: divide et impera.

— No tak. Jak i zawsze, jak i wszędzie.

— A teraz, powiedzieć proszę, co czynić mam? — gdzie się obrócić? — Jużbym się i przystosował. Umieć, uczyć mogę po litewsku. Nie zechcą. Polak i surdutowiec. Gorzej. Z tych, co, podniósłszy bunt, walczyli o „przywrócenie pańszczyzny“. — Starzec bezsilny... bezsilny — obrzękły nogi. — Co począć? — Żyw do ziemi leż!

— Proszę się na mnie zdać — wzruszona rzekłam — zima nadchodzi, potrzebny panu ciepły kątek — zostawiś tak pana niepodobna. Naradzę się ze szwagrem, z siostrami — nadzieję mam, że się i zajęcie znajdzie, w każdym razie...

— Kątek? — zajęcie? — nie! nie! — przerwał mi gwałtownie. — Usunąwszy się z krzesłem, dłonią nad ucho potrząsając: nie! — powtarzał — nie!

Nastało milczenie. Ciężkie jakieś, kłopotliwe. Z poza

okien widać wciąż było jeszcze siwe, smutne, nieprzeniknione morze mgły.

Wtem znowu na sobie poczułam wzrok jego uparty. Po wynędzniałej twarzy, wypieków dostawała, znowu przemknął uśmiezek.

— Pani — swobodnym rzekł tonem — nie pyta mnie o towarzyszy naszych dawnych. Włóczęga nosi mnie tu i owdzie, mógłbym poinformować.

— Nużbym się czegoś bardzo złego dowiedziała... wolę nie pytać.

— To „bardzo źle“, jak rozumie pani? — Niedolę, mojej podobną: utracone byt, stanowisko społeczne?

— Źle, wyraziłam się, mówiąc „bardzo źle“. — Najgorsze chyba. Złamanie się duchem, sprzeniewierzenie ideałom, dla których się młode życie poświęciło.

— Złamanie się duchem? no, spokojnie pani słuchać może... Krzepko stał, nasz pan Walery, krzepko i dzisiaj stoi. Pod każdym, cha, cha, pod finansowym nawet względem. Wybraniec fortuny, to mu przyznać należy. Za plan „warownego zamku“ kowieńskiej turmy nowej, dobrze mu w swoim czasie zapłacono. Mieszkanie w niej bezpłatne jeden z pierwszych dostał. I z rolą, wpływem jakim, ba! w kącie sami poszli komendanci: Szepełow, gładki, układny — wiecznie rozstrożony, ale i poczciwiną w gruncie Abramów. Wygody względne, względną i swobodę, komuż właściwie zawdzięczamy, jeżeli nie jemu? — Pomyślanej dowcipnie i zręcznie przeprowadzonej organizacji więziennego z pośród nas samych zarządu. Głównego przy dostawach eksperta, Sykstusa Michałowskiego, przezwanego Mamelukiem, któżbo nie nosił przezwiska, przypomina pani? Albo i poczciwego naszego Żmudzina, p. Franciszka Szymkie-

wicza, głos tubalny, łapy i bary potężne? — 4-go marca, 1865 roku, w dzień patrona Litwy, pamięta pani uiluminowane więzienie, śpiewy z każdego rozlegające się okna. I gniewne a bezowocne Abramowa miotanie się od celi do celi. -- Wy śpiewali? wy światło palicie? — Rozlegające się z pośród ciemności odpowiadało chrapanie. Nim wpadł Abramów, zdołano wszystko doprowadzić do porządku. Podążał ku drugiej celi, w tej znowuż i światło i śpiewy. — Tak, tak „Albośmy to jacy, tacy“... naród z nas wesoly. Mimo warunków oplakanych powstania, humor nam w szeregach, a i potem w ulu dopisywał. Syberja, wygnańcza dola, zmogły dopiero. Ha, zmogły!

— A wychodziliście pełni jeszcze złudzeń i nadziei. Żywo mi stoi w pamięci ksiądz Pietraszewski. Smukły i dziarski — w aresztanckiej siermiedze, a zdałoby się, że w czamarze jeszcze powstańczej. — Ku więziennej bramie, z partią podążając zesłańców, zatrzymał się, czapkę wznosił: Nie smućcie się!.. wrócimy, wkrótce wrócimy!..

— „Wkrótce“ ten wrócił jedynie, kto wolnym powrócił duchem. A i rzadki ten, kto Syberję po latach rzucając, miał prawo, albo nawet i chęć dążenia ku stromom rodzinnym. Choćby i pan Walery *) — krzyżyk

*) W. Kulikowski urodził się roku 1836, w Wilnie, skończył szkołę inżynierską w Petersburgu. Osiadł w Kownie — brał czynny udział w wypadkach 63 roku na Litwie, zajmując jedno z kierowniczych stanowisk. — 3 lata spędził w więzieniu — zesłany na Syberję. Przyjechał stamtąd na krótko, by 1872, zaślubić Ewę Huszczównę. — Powróciwszy do Irkucka, spędził tam jeszcze 4 lata, do roku 1876 — potem przeniósł się do Kijowa i tu spędził resztę życia, pracując, jako architekt.

W „Głosie Warszawskim“ z 1910 r. — wspomnienie pogonne.

na Kownie położywszy, w Kijowie osiadł. Tam się bogaci — proceder, który mu się czasu wygnania opłacał nielada — kamienice na kamienicach budując. Człek ze mnie towarzyski. Dawnych, gdzie popadnie odszukuje kolegów. Odwiedziłem. Zdrowie trochę nie dopisuje, zresztą — ho! ho! — „Chata była, żinka miła“ — dzieci, dostatek: wszystko, czego dusza zapragnie. — Syna jedynaka w Rydze, cha, cha, kształci. W Rydze. — Z dwojga złego — powiada... Tak, to tak — nie Charybda to Scylla, innego dla nas wyjścia niema.

— Obce wpływy — odrzekłam — nie zabiły w panu Kulikowskim Polaka, i to dobrego Polaka, miejmy nadzieję, że syna mu nie wynarodowia.

— I że syn, ojca śladem daleko się z czasem przejeździe. Daleko się zaś dostawszy, kto wie? o nową skalę czy łodzi swej nie roztrzaska.

— O czym pan mówi?

— O największej z pokus. My światem, rzecz wiadoma, lecz nami rządzą...

— Ach, tak.

— Na Syberji, nie ma pani pojęcia, ilu naszych w la-dajakie wstąpiło związki.

— Dlatego i dopytywać się nie chcę. Smucić gorzej, niż po umarłych. Sam wybór, kwiat niegdyś naszej młodości!

— Na wyżynie utrzymać się, ha! nie tak łatwo... I to ludziom, przez katusze wysanym, oderwanym od środowiska swego — ha — ha!..

— Któż tego nie odczuwa? nie uwzględnia? — Trudno nie boleć wszakże.

— Zgrzyty, niekonsekwencje... tak, łaskawa pani. —

Posłuchać proszę, jak się skończyła epopeja trzech zapaleńców młodych, co się przed laty, przedarli byli w szeregi Dłuskiego.

Jeden z nich—do kraju ściągnąć nie zdołano niczem—umierając rok temu na Syberji, rodzinie o mongolskim typie, ojców nazwisko przekazał.

Z wygnania wróciwszy, do wojska wstąpił drugi. Kresty, awanse... nienajgorzej wiedzie mu się, nie!

Trzeci... drgnęły mu wargi, ożywiona przed chwilą, twarz nagle spopieliała. Powstał, i dłoń wyciągając:

— W więzieniu — głucho rzekł — z rodzicami pani siedziałem. — O datek... najłżejszy datek dla starca bezdomnego...

— Ale i cóż pan zamyśla z sobą? — Gdzie się udaje? — zawołałam, przygotowany wręczywszy banknot.

— Na Laudę.. dziękiż stokrotnie!.. żwawo zabierał się do wyjścia — na Laudę, hm...

— Tak?.. Poczekać proszę... odwieziemy.

— Poco?.. Ja tu sobie o kiju... póki mię nogi nabrę-kle... Poco?.. nie! nie!

Wzrok odwracał — z wyrazem zniecierpliwienia i nieufności dłonią potrząsał znowu.

— I w tej, wiatrem podszytej, surducinie!.. Ciepłego nicze pan nie ma?

— Palety — za progiem już mrucał — drapowe, na wacie... Nicpoń Andriolli... drapowe — do tego bobrowy kołnierz...

— Wiem, wiem. — Było to — przed kilkadziesiątu laty!

— Lecz i przed kilku dniami — wierzyć proszę —

miałem ja paleta wcale, wcale porządne. — Ukradziono mi je. — W najbliższym pani sąsiedztwie, w Krakinowie.

— Jakto?

— W szyneczku, na rogu... Zmroczył sen... Tiy, opoje przekłete... Noga moja więcej nie postanie...

Smutnie za znikającą mi we mgle spoglądałam postacią. — Bo i nie na Laudę kierował się — nie!

Co do palta, które „nicpoń Andriolli“ — rzecz się tak miała:

Osadzony w kowieńskim więzieniu, Andriolli, wraz z kilku towarzyszami zemknąć postanowił. W ostatniej chwili wszakże, do nitki odarty, w co ubrać się? — kłopot, którego nie przewidział.

Co tam! zaradzi się jakkolwiek... Do Wasilewskiego:

— Palta mi pożycz, bratku.

— Jakto, pożycz... Na wieczne nieoddanie?

— No, tak... Niby...

— To mi się podoba!..

— Ech, ceregiele!.. za palto, i z kamery. — Pisuj do mnie na Berdyczów!

Skarżył się i skarżył Wasilewski na całe więzienie. Tego nie dość. — Okazuje się, że po latach pięćdziesięciu prawie, nie zapomniał.

Może go tak bardzo dotknęła niewdzięczność artysty, który z zagranicy Murawjewowi (młodemu) przesłał depeszę tej treści:

— Dzięki raz jeszcze za buty, ekscelencjo. Nielada mi się przydały. Wasilewskiemu zaś jednym nie raczył podziękować słówkiem.

Prawda, że zachowanie się ofiarodawców było wielce różne. Jego ekscelencja braku dojrzał sam — sam prośbę uprzedził.

— Bosonóz, biedniażka — wyraził spólubolewanie, gdy za jednej z jego wizyt, na wysokiej łożka poręczy siedząc, Andriolli bosemi w nią dudnił piętami.

— Po lasach zdarty mi się buty, ekscelencjo. — Bosy w turmie — gorzej, bosy pójde na Sybir.

— Na Sybir? — Znajdą się być może, znajdą.

W czas jakiś potem — zabawne, bo i w sam dzień ucieczki, butów mu parę wyśmienitych przysłał.

„ROZITA KOSEŃ NIECH
ROZPLECIE“.

„Opowiadaj i opowiadaj“ — z pokoju nie daje wy-
niść pani. Zakcieli!.. Żeby tak dla prostoty, ci bajka, to
jeszcze... Ale dla państwa... Ni sio, ni to...

Ale służywszy u panów. Na pański upor, za prze-
proszaniem lekarstwa i w piekle nie znajdzie. Co mnie
rozwodzi? — Chiba już jak mnie Duch święty po-
zwolił wyratować dusza chrześcijańska od zguby wiecz-
nej, ognia piekielnego. Tak mi Panie Boże dopomóż.
Amen.

Powieccie, son tu między państwem, co zapamiętali
tamten wielki bunt? — A-jej, jej! — szli do lasu i szli—
kara, ci co? Boża. Szli a szli. — Panicze, księżulkowe,
dworskie, to same ze szlachty familjanty... Nawet i
ludzie...

W tamten czas, dziewczyna młoda, służywszy ja u
wdowy niejakiej w Poniewieżu. Nieskompa i lenta, pani
byłaby do rany przyłoż, ale i bieda... Śnioncy wyśni
sen, coś nie coś w gazecie wyczyta, już lament... Polko,
synaczku, niema już ciebie!.. Na wieki pożegnali oczy
moje... Polko mój, Polko!..

Po prawdzie, jak tu nie płakać bieduleńce? jak tu
nie kukać? — Krew z mlikiem, jagoda, ot, leśna, piekny
był paniczek. Przy nauce, oho! przy bojaźni Bożej —
w seminarji na pana proboszcza chowalim, prymicja
mielim robić. Masz tobie proboszcza! prymicja masz to-
bie! — przystąpiło — do lasu, na głód, chłód i mor, za
drugimi posoczył.

Ziemio rozstomp się! od tej pory — ni widu ni słychu. Już i oczy od płakania zapuchli — zesłabiawszy, już i z pościeli nie wstaje. Wszystko na tobie, Rozita. Koło dzieciuluka najmniejszego powiedziałałabyś, koło niej ty kodź.

Asz tu — pierwsza, jak dziś pamiętam, bywszy adwentowa — do kukni włazi mnie jakiś włócenga. — Żabstwo, niema na co spójrzyć, lat czterestu może pastuszuk. — Czego? — Panio widzieć kciałby. — Nie-możno. — Czeba. — Ja za walek: Pójdiesz?

A tu pani z pokoju: Chto tam? chto? — Puść do mnie, Rozita.

Musiała. Co ty i poradzisz? — Brudasa, na czyste moje podłogi.

„Szu, szu“ — słyszę. — Przemówiwszy się, coś nie coś, czasy temi bylim — jak nic, myślen, drugiej stara sie.

Za drzwi, on — w te pędy ja do pani. Krakinoska Matko Przenajświentszo — cud! — Nie ta pani. — Sama na łóżko siadzy, pończoszki wzuwa, trzewiczki. Nic to jeszcze. — Suknia ty jej, futerko, podawaj kapturek. Do miasta — patrzen, oczom nie wierzoncy — do miasta, szlapt, szlapt, poszlaptiniała.

Na dorożce, godzina nie przejdzie, odwieźli. Słabieńka znowu, bieduluk, ale i do łóżka nie idzie. Pisze tam coś, to po szufladach krabźdinia. — Szalinowa, piękna niema co, mnie przyrzuci chusteczka. Ja jej do kolan, a ona: Nie kciałabyś, powiada, u krzesnej mateńki dzień jaki, dwa pogościć? — Ot, gadanie! mówien — jak tu i nie zekcesz?

Wieczne jej odpocznienie, mieszkała na Laudzie pani Towciłłowa, mateńka moja krzesna — familjantka. Grzebieniuczek do ręki weźmie pani. Poczulem co

bendzie. — Włosy — nie chwaloncy się — i dzisiaj po kolana. Przy zdrowiu lepszem bawić sie lubiła: splata, bywało, rozplata.

Splotła — żeby to po ludzku. Nie, — ani szas, ani tas — w jedna kosa tylko. Gruba, jak ten kułak — cien-szka, bije w kark. — Przepleść kcem, nie daje. — Zagniewawszy sie — a-jaj! — Ściana powiedziałałabyś, tak pobladszy. — Przysięgnij — powiada — na matkę Chrystusową przysięgnij, że bez mego rozkazu nie ruszysz. — Zaraz tu mnie przysięgnij!

Zupełnie już, myślen, za przeproszeniem państwa, zdurniała. Ale i z takim, at, bić sie bendziesz? — Niech tam! Niech moja przejdzie. — To i zaraz insza. — Kosa mnie najpiękniej skrenci, do głowy szpilkami nowemi przyszpili, zawionże chusteczka. Do chusteczki — westchnie, kap, kap, lezki — w rożek sam, jakiś wionże papieruczek.

— Dziewczynno — powiada — wyśniłem sen, dusza moja czuje: obaczysz ty Polki mego u mateńki. Obaczysz? ta, ot, pisania przykazujen w ronczi jemu własne oddać. Nie obaczysz — spał, żeby oko nie widziało. Polko mój, Polko!.. Dam co kcesz, nie pożałujen, tylko ty mi jego wynajdzij. — Co tylko, dziewczynno kcesz... niczem, niczem, chusteczko szalinowa!..

Słowa taka... wyrozumie kuždy: nie już do mateńki, na koniec świata leciałbysz!..

Mil za Poniewieżem trzy. Wiatra jak na szwinta Piatra. Warjacja taki wiatr. Lecisz, koć i skrzydeł nie miawszy. Nios — ojej! — Na niebie słońca jeszcze, zanos do pani Towciłłowej.

Ucieszyła sie, powiadam państwu. Jegomość w Rydze z furmankoma, przykrzyło samej. Gościć a ugaszcząć. Bożeńko mój, czego tam nie było! — Gody spr-

wiawszy najmłodszej, myciuka przed samym adwentem zakłuli. Nalazła się z kapusto kielbasa, na szmelcu blin-ków usmażyła kartoflanych — ragejsz świeży, krupniku filasza.

Pić pijem, zakonsywać zakonsywamy. To, drugie pleciami, plepietuchy. — Powie: Chusteczka zrzuć. — Dziewicy we włosach przystoi. — Włosy miałesz — powiada — piękne.

— O-jej! — splasnen ja rękoma — na śmierć zapomniawszy!.. Nie macie w gościach, nie widzielicie, mateńko, takiego tam z lasu, pani mojej paniczuka? — Poznać nie zabawi sie: oczki spuszczone, ozeba, ci nie czeba czerwienieje — na kleryka patrzy. Jak ta jagoda leśna, piękny, jak malina.

Zmarszczy sie:

— Zagłośna gadania, zagłośna. A to, córko, nie wiesz, nastali czasy, że i ściany uszy majon. — Ni ja widziała, ni słyszała — nie wiem nic.

Widzen ja — prostakowi proszen wybaczyć — jak ten ciucia baba, widzen, lże. Dawaj pilić. Słówko po słówku, przez gorzkie menki: dość, że wyciukała.

— Chodzon oni, ta, jeszcze chodzon — powiada — jeden z drugim, zguby sobie i bliźniemu szukajoncy. Niedalej zaprzeszłego wieczora, ze trzech, jak mnie widzisz, doczekałem u siebie. — Ni jeść, ni pić, ni słowa ludzkiego, na piec poleźli, zmarzszy, jak ten kość. Ci z niemi był, ci nie, pani twojej synuluk, a ja co wiedzieć mogen? — Może i był. Coś nie coś — a jakże — coś nie coś o Poniewieżu mamrotał chtëryś. Cienieńki, długieńki. — Piękny on? — w ciemności nie rozpoznasz, a i najpiękniejszemu już, córko moja, po piękności. — Kielbasa, myślisz, jedzon, ragejszem zakonsywajon, popijajon krupnikiem? — Na trzaska wyschszy, z miensa,

ze krwi już chyba wyszeptawszy sie ten twój paniczuka.

A mnie — powiada — bardzo po sercu było? — nieprzyjacielowi nie życza. Samiutka, jak ten palec. Z dobrościon, czy poniewoli rugować kciałbysz: znajdź sposób. Rugować zreszto — biedulukiż wy moje, o-jej, jej! — dusza nie daje. Koć ty i płacz, nie daje, córunio, dusza nie! — Cóż tedy? — Śpijcie z Bogiem, at! — Śpijcie? — A tamte — nie minie dzień, wenszon, nieprzymierzając, tropion... Wytropion — zginota, przepadniencie...

To i oka nie stulen — rozgadawszy sie, powiada, rozpowiada mateńka — zataiwszy sie, pod okienko przypadszy, rożaniec odmawiam, nasłuchujen... Asz tu, pod sam północek psi pocznon ujadać. Trzonska chwytą, bo i ujadajon po wiadomemu. W ciemnicy w dalekości: uch!-uch!.. brzenknie coś czasem, to zaskrzypion płozy— uch! uf!.. po wiadomemu gadać zaczyna gościniec.

To i serca mnie w gardle — powiada — córunio, za-trzymawszy sie, to i w krzyk: Boicie sie ludzie Boga? boicie?.. Uciekajcie!.. mnie sieroty nie gubcie... Nadchodzon!..

Biedulukiż wy moje, bieduluki, na co wam, ot przyszło, matka poco urodziła!.. Poczawszy widać, z pieca kulkami skuliwszy sie, jak jeden człek... Zajonce — Krakinoska ty Matko Przenajświentsza! — z miejsca, rzekłbysz, zajonce ruszone... Chtëryś tylko, już za wrótyma — o Jezu! — krzyknoł, że aż w kości poszło. I znowu: o Jezu!.. A tu już zawiejka porwała sie i szła — wicher śniegiem rzucał, krencił pod niebiosy.

I ot, pociecha, cud, Matki Boskiej zrządzenia — raz pierwszy od stworzenia świata, przeszli tamte, sen powiedziałbysz, cicho, cicho — nie zajrzawszy do chro-

min, czleka ni żywiolka nie poturbowawszy. Chwalić Imien Jego swiente. Ot, i wszystko, córunico.

— O-jej! — mówien—to i cóż bendzie, mamunitia? Oczy jak ja pani mojej pokażen? — A i, po sprawiedliwości, gościniec deklarowała piękny. — Co tylko, dziewczyno, kcesz — deklarowała.

— Albo, jak swoich, zabrali żołdacy, albo śniegi zasykali — na to, powie, nie poradzen.

— A chromin pod borem nie macie? — Może i gdzie w chrominie zataiwszy sie?

— Świronek jest, jest i odrynka. Chto wie, ci nie twoja prawda, moja córko.

— To i kodźmy, ojej, pani mateńko. A-jej!..

Poszlim, Oborka po drodze. — Żywiolki obaczyć nie kcesz? — Piękne, niema co. W świronku dawno nie widziałesz. — Panie, panie! czego i nie było w świronku?.. Pierzyn a poduszek, szczochranej wełny, talek całemi kopamy!.. Kufer jak dom. W kufrze, nie do wiary, płótna, ręczniki, samodziału retule (rulony) całe, czerkasików... Wszystko to — powiada — sprawiwszy moich palców dziesięć. Na kołowrótku, nie chwaloncy sie, na warsztacie. Koć i nie chaminia, od chamiń poduczyszy sie pani Towciłłowa.

— Oj, pięknie — chwalen, jak nie chwalić? — ale co z odrynko? — Dzień krótki. Słońca już idzie spać.

— Twoja prawda — rzeknie — córunico.

Pierwsz napierwsz poskoczywszy, wrota otwarszy: Chto tu? — krzyczen — wykodźcia!.. Mateńka za mno: My tu z dobrem, swoi...—pozdrawia imieniem przenajświentszem. — Cicho, ani ducha. — Siankiem tylko zapachniało.

— Kodźmy! — zamkneła wrota — kogo niema, wołaj nie wołaj, koć ty i podrzyj sie, nie dowoła sie.

Dobrze jej gadać, bogatyrce, wszystkiego miawszy, na wszystkim czem. Mnie gościńca od pani kciałoby sie, a-jej! — Kciałoby sie gościńca, dość miałem kukania, płakania... Wróc z niczem, wygryzie mozgi. — To i soczen ja sobie koło chromin, pod las wypatrujen, skuteczno modlitewken mówioncy:

Świenty Antoni Padeski

Obywatelu niebieski,

Niek sie spełni prośba twoja,

Niek sie znajdzie zguba moja.

No, i mało nie przewróciwszy sie, powiedziałby chto w łeb dostawszy polanem... Oj, polanem!.. Bo i pod sosno, ni blisko ni daleko, nasz pan Hipolit, pani synuluk — jest zguba nasza, jest!.. Na ziemi, skurczywszy sie, w szaraczkowym surduciku — nosił na poranki, bywało — deszczyk ze śniegiem plaży, jak amen w pacierzu, nie postrzeglibym, żeby nie mój świenty Antoni. — Skurczywszy sie, posiniawszy, z głowy czapeczka, ronczi na boki: żyw ci umar? nie zgadniesz. Pobrynelim, zaspas nie zaspas, gramolim sie. Co bliżej — smutniejsza nowina. Trup z Polki mego, żywy trup. Już i wrona kracze hadko, na sońnie przysiadszy. Już i z mateńko Anioł Pański odmawiajoncy podkodzim...

Matko ty Przenajświentsza, straku nam kiedy, kiedyż i da pokosztować!.. Szast prast, renka do góry, fuzja, ci tam liworwer, ci tam lika jakiego w renku... Zdziczawszy, na życia godzi, jednej minuty przez kości poszło i mnie i mateńce. — Jezu, ratuj! — głosem nieswoim krzyknie, w śnieg powali sie, krzesna mateńka moja, familjantka, pani Towciłłowa.

Mnie, chwalić Boga, dał Pan Bóg Duka świętego.— Przyskoczen ja do Polki, przyskoczen; za garść chwy-

cen, wychwycen jemu z garści... Po prawdzie — oj, oj, ci ja wiedziała, cacuczek ten, że to, za przeproszeniem, czartoska taka moc?.. Ogniuczek, dym, no, i palnie!.. mnie moi państwo, jaka nieboska odrzuci stworzenia... Jej!.. jej!.. śniegi z sosny posypali się, wrona porwawszy się, uciekszy.

A on, biedulukas, usiad. Oczy w sęp; otwiera to mruży. — Mamo! — zesłabiawszy, kłoda powiedział-bysz, o ziemien: buch! znowu.

* * *

Wzielim na ragucie. Pod kożuchy, żeby chto nie wypatrył. Do chaty — dworem nazywać kazała — przytaszczyli. Dawaj w komorze śniegiem trzeć, nacierać — pierzynami okrylim, napoili krupniczkiem.

Odczuchał się, coś nie coś, — widzi, to i powie mateńka:

— My do waćpana z ratunkiem; waćpan kciałez zabić... Dlaczegoż to?

— Was, myślicie, was kciałem ja zabić? — nie swoim głosem ożwie się z pod pierzyny.

— To i kogoż? — Nie wrona ta chiba, co hadko już nad waćpanem krakała.

— Boże, Boże — zakrzyknie — bądź ty mnie miłościw!.. Nie na waszon, kobiteczki — nie widział was — na krew połakomiwszy się ja swojon!.. Głodno, chłodno, uganiajon, jak zwierza dzikiego, to i zazłuł się, zdesperował: Czuj duszo, mówien sobie, dobijem się końca.

Zdrentwielim. Oj, paniczuku, oj!.. żeby tam troszki, na wiek wieków potempnieć!.. Nad grzechy grzech. Nieludzki. Odkupienia dla takiego niema.

Placze, zawodzi: Śmierci, oo, śmierci!.. Ratowali poco? — Lepsza śmierć... twarz wetknie w poduszki.

Lzy i nam poleli się z oczów. Otarszy się nosówko:— Wola Jego przenaświetsza — familjantka, pani Towciłłowa, chrzesna mateńka moja rzeknie — z Poniewieża nadbiegszy dziś, od matki Rozita, chto wie, co ma dla waćpana? — Chto to wie?

— Rozita? — To ty? — Odpowiedź masz? — Dawajże, duszo, dawaj!.. Skoczy — aż pierzyny pospadali.

— Asz jaka — pytam — odpowiedź? — Nijakim, paniczuk — byłoż kukania, płakania! — listem nijakim nas nie obesłaesz.

— Dziś, wczora, tamtego tygodnia, żadnego nie mielicie listu? Kartelusza do mnie matka nie dała żadnego?

Oj, główko moja, nasłania ci co? znowu zapomniałem. A tu zapodziała się, koć ty i w ziemien leż, chusteczka. Szukam ja szukam...

Ci nalazłem? kce pani wiedzieć... Gadanie!.. Jużto nie znajdziesz?.. Gadanie... Nalazłem, pismo wybraawszy podajen — jej! jej! — czyta on, rozczytuje, szczerwieńniał, po mnie, to po mateńce pogłada. — Co to jest? — powiada — nic a nic nie rozumię.

Bo i pisania cała „Kosa niechaj rozplecie Rozita“.

Rozplatać ja kosa — ot, pani chitra! — bumazki sypać się. To i druga nalezli karteczka. Co w niej stało, co nie stało, ci ja wiem? — Dość, że poweselawszy, drugi raz, powiedziałbysz, na ten świat przyszedzsy paniczuk. Wyściskawszy mateńken, mnie, obraza Boska, wycalówawszy — a-jej! jej!..

* * *

Od tamtej pory upłynęło wody w Niewiaży, upłynęło!.. Byłem ja tego lata w Szydłowie, na feście.

Z procesjo wyjdzie ksiondz. Co młody, nie, już nie-

młody, ale i żyrny, rumiany, piękny, jak ten mak, jak ta leśna malina. Przy dzwonekch, pod baldakimem, kapa, na nim, aż oczy bolon, pozłocista. — Patrzen i patrzen, dziwujen sie: ten ci nie ten? pytam siebie i pytam. Ten, ci nie ten?—nie już ty, ksienżunio, Polko jestesz mojej pani — Do lasu, a-jej! jej! — nie już ty kodził, z liworwerem pod sosno, nie już ty leżał oczki zamrużywszy. Nie już ja ciebie uratowała od zguby wiecznej, ognia piekielnego?

Nie już?

W imien Ojca i Syna... śni sie chiba, Rozita.

* * *

Kazalicie, gadałem. Jaka nauka, taka i gadania, może nieseńśnie, ci ja wiem? — A teraz, kłaniam sie państwu. Adju!..

ROZBITEK.

Słysz!.. Raz drugi nie śmieję pytać.. U mnie prędko.
W zęby możesz wziąć.

Przypisan... Gdzie, szaraczku? — Do dumy, czy do
gminy? — Przypisan — ha-ha!

Facecje.

Wiedzieć chcesz: wielmoże my, ziemi z wieku na
wiek pany dziedziczne... Szlachta od króla Jagiełły.
Babcia jeszcze rodzona, chcesz wiedzieć, karocą po-
szósną jeździła.

I z laufrem.

Kolega waszmościn. Za trzydzieści, przy „żelez-
noj“... No, rodził się — czut', czut' nie w pałacu.

Ot, jak!..

Niehcący powiadasz... Ba!.. myślę. — Posłyszec-
byś rad?.. Nudy — a-a—siarczyste.. Spać, czy w kar-
teczki ciąć się? — Pogrzebmy się w popiołach.

Czut' nie pałac... Za trzy grosze niema w tem prze-
chwalki. — Werandy, parkiety, salony — zna się na
rzeczy, sam pan ojciec stawiał. — Pieniędzy wysy-
pał moc.

Pan ojciec, hm, rano frant—frantik w południe. Od
spinek, breloków, dewizek... Po palcach, ot, póty pier-
ścieni!.. A czamary, tużurki, bonzurki... Ylangiem, Jockey-
klubem woniejący: niczem sklep fryzjerski.

W oknie rozeprze się, bywało. Okna jak altany. W
lewo spoziera, w prawo. I tu, i tam, niwy, lasy, łąki,
wsie, folwarki. Pan wszystkiego, wszystkiemu króluje.
Uśmiechnie się, odsapnie, węża nastawi do góry. Czar-

ny, jak heban, od pomad, fiksaturów sterczący i bez tego wąs.

To huknie, basem na cały zagrzmi dziedziniec:
— Pilnoo-wać!.. panicze w wozowni!

Najsrożej zakazano. Im srożej, tem większa pokusa. Wpraszaliśmy się, nie? zakradali. Cha, cha, koty nie zakradają się chytrze.

Wierz, nie wierz, było tam czego. Siodła, złotem i srebrem szyte czapraki, krakowskie chomonty z szalami, uprząże angielskie, ruskie. Pod ścianą główną karooca, więc i buda na płozach, koczobryk; tu kabriolet, ówdzie, sanki, saneczki...

Haha — używasz i w stajni, bywało. Od przeoryny do przeoryny latasz. — Ten złotogniady skąd? — A tamten z łatką? — Cóż za para? — przyprowadzone pewnie z jarmarku?

Fantazję nielada miał. Zmiany mu ciągle, i zmiany! — Dziś czwórkę siwych sprzął — nie minie tydzień, powozi bułankami. — Bułanki uprzykrzyły się, kare, ogień sam, skądeś wytrzasnął, i — jazda!..

Jazda, popuściwszy cugle... Na złamanie karku, co?.. We wszystkim tak on i jeździł. Z roku na rok, dwór, łany, lasy, folwarki przejeździł. Chłopczyna zuch!.. nie powiesz? — mój ojciec, ale i całą gębą zuch!..

Nie winię go, nie oskarżam. Od króla Jagiełły, mosanie... Narów pański w mozgi wgrzył się, w krew... Z sobą w pieluchy narów przyniósł pański. Nie winię, i tylkoż przychodzą czasami chwile, że siadłbyś człeczce i wył, jak ta — nieprzymierzając — sobaka o księżycu. Siadłbyś, i wył.

Rozumiem, ha, rozumiem. Ale i gorzko i gniewno. I nieraz: co to? — dlaczego? — pytam ja siebie — do szkół chociażby czemu nas nie oddali? — Parady całej

guwerner — i to latał za siostrami. Tyle naszego, że się matematyki liznęło, wyuczyło mowy potrzebnej...

Z tem i radź, nieboże.

Doradzili sobie dwaj najstarsi. — Czterech nas, do brodzieju, było. Doradzili, cichaczem urządziwszy drapakę, podawszy się do wojska ochotnikiem. Wyjdzie na jaw, sądny we dworze dzień. Mdleje matka — ojciec krzesłami ciska. — „Łotry! ja im pokażę!.. ja was nauczę — wy!..“ Kiwanie, ot, palcem w bucie. — Zemknęli — wiat w polu goń.

Mudrecy, o mudrecy! — A i poszczęściło. Turecka, uważasz, kampanja. Obłowili się, wyszli w oficersy.

To ja Tadeusza, na foksalu, czasy temi spotkał. Pas, ostrogi, dżyń! dżyń, łuna bije — chwata, oficerszka. Ja winszować, a on — nie do wiary — on mi „nędza złocona“ powiada. Nędza... Ha ha — mył się w szampańskim, konia szampańskim poił... Nędza!..

Spotkawszy się: gadu, gadu. Ale i nie po naszymu, nie. — Po naszymu, śmiech, jak nie starał się, nie próbował, on już ani słowa.

Lepiej z tem idzie Witoldowi, chociaż — ożenić się z dejczerką lichu nadało — dejcz i dejcz u niego. Wiedzie się zresztą: na tamożni zbija kabzę, dostatki gromadzi. Dostatki, tak, ład wszędzie, akuratność. No, i co powiesz? — zatrzymywali — nie mogłem, nie! — w drugie zemknąłem rano.

Trzeci z kolei Bolek, uszy po sobie, jak i ja położywszy, zmiłowania wyczekiwał Bożego. Doczekał, niema co. Po latach i latach, i kark tego już mając nadwreżony pan ojciec, we własnej osobie, oddał go na libawsko-romeńskie w konduktory.

Pan ojciec... wielmoża, władca ziemi dziedziczny — ha-ha-ha!..

No! nie był on już panem jasnym, ani dziedzicznym, ani przy kieszeni bręczącej. — Między tyki zszedł. — We własnym wprowadzie domu, okazałym dość wprowadzie i w mieście powiatowym, lecz już na bruku mieszkaliśmy.

Ze zmianą pogodzić się niemogąca, nie! spazmująca po dniach całych matka; on pyszniejszy, niż kiedy, opryskliwy — zły; siostr dwie, panienki na wydaniu.

Rozumu ledwie dochodził, od moich panów braci, o czym — waszmość, jak myślisz — słyszałem najczęściej... Ratuj się kto żyw! — To i młokos jeszcze z boku na bok po puchach w ojcowskim przewalając się dworze, nieraz już zastanawiałem się niespokojnie, co robić z sobą, na chleb w danym razie czym, i jak zarobić? — Z latami zemknąć, jak bracia z przed oczu mu zniknąć, wybijać się o własnej sile, marzeniem stało się mojem. Przed siostrami coś tam, kiedyś piąte przez dziesiąte wygadałem...

Na biedę swą. — Co chcesz, matkę bawić lubiły płoteczkami... Powstanie chryja. Spazmy i krzyki — lzy. — „Niemiłosierni!.. jeden po drugim w sercu mi topicie noże... Tamci — wyrodki. — Wyrzekłam się o, Matko bolesna! — widzieć nie chcę, nie chcę znać... Tobie — zakazuję pod błogosławieństwem. Tyś nasz jedynak, pamiętaj, rodu głowa, podpora starości. Dość ohydy i bezceństwa. Dość już, dość!“

W żyłach krew nie woda, lecz serce mam... co tu i gadać? — mazgaj kiepski, poznaliście chyba. A i żółto-dziób, któremu nie dano było jeszcze spenetrować, że mowa nam, ludziskom, służy najczęściej do tumanienia... nawet i samych siebie.

Słowami szumnemi upił się, zbałwaniał wprost wnuk mojej babci. Zdrową głowę — radźcież wy za nie-

go — oddał im pod ewangelję. — Ze skutkiem — oho! — Rok, dwa, wspólnego w mieście pożycia, gdy już nitki zdrowej brakło na ciele, bonżurem niegdyś wspaniałym, parą zdartych podarowan kamaszy. Lepiej — oho, oho!.. z drwala, jak się zdarzyło, nosiwody, niemal na stajennego posunion. Przy szparkim temperamentem, jak piłki wylatywali stajenni a koników trzymaliśmy parę.

Jak niedola, to niedola. Jedna dla wszystkich — zdawałoby się — no! — Ależ, bynajmniej, panie dobrodzieju. Pieniążki były i nikt się nie ograniczał. Najmniej on. Strojny, dworny, po dniach całych szlifujący bruki za pannami. Do domu wraca — po kieszeni mu siostry myszkować. — Bakalje, cukry... To dla nich. Ale i notes, krawat, szpilka — byle nowina — tuzin kołnierzy, breloczek ciekawy... Ot, jak!..

Ha, trudno!.. poniewierka, wyłączenie... gorzej, niż sługa, niewolnik wieczysty — rodził się bunt, złość kipiła we mnie. Złości w nim też coniemiar... Do wybuchu przyszło.

Wiatrem podszyty bonżur, kamasze ciekawe, mróz, aż świeczki w oczach stają. W stajni a drwotni zmachawszy się, dla rozgrzewki dostałem był na śniadanie — parobczy dać woleliby wikt — szklanek parę wystygłej herbaty.

Zmarzły tedy i głodny. Głodny, że to — ha!..

Zjawiam się na obiad.

— Zawczasie — powiada Fela — papa w mieście; wyszedł po sprawunki.

Umizgnąłbym się do Salusi. — Tak, ot, mimochodem, łatwe i nieszpetne było dziewczysko... Umizgnąłbym — cóż, gdy w kuchni matka. Co piątek, pod okiem jej — sprawa nad sprawą! — kołduny gotują się dla

ojca. Na pół powiatu sławne, wyśmienite, amatorskie.—
Pod rękę już się tam jej wówczas nie nawijać...

Bodajże!.. Siarczyste bodaj pioruny!..

Knę, uważasz, i knę, nogami tupiąc, rozcierając
dłonie, w tem — dzwonek.

Po szubę, szub takich nie spotka dziś, do przedpo-
koju wypada Felicja. Cukierkiem w nią cisnął, spryskał
zniecka periumą: śmiejący się, powodzeniem rozwe-
selon. — Kulig w mieście. Zaproszon. Konie obiecał pan-
nom Szwarz, alem i na dzisiaj niepotrzebny — sam po-
wiezie. Srebrną, szyk papierośnicę kupił — parę wynal-
azł kanarków...

Zasiedliśmy. Talerz wygrzała Marynia; z wazą mu
własnoręcznie kolduny przynosi matka. Je, mlaska —
my na krupnik czekamy.

Drobiazg, dzieciństwo... Tak. — Lecz i z drobiaz-
gów, co, na szalę pełną po brzegi padając, czasem ją
najniespodzianie pociągają w dół.

Krupnik przyniesiono. Ja, za łyżkę. I krupnik dobry
głodnemu. Pan ojciec z gębą pełną warknie:

— Owsa koniom zasypałeś? — Ej, trutniu, widzi
mi się... nigdy cię, trutniu, chyba... ja, com się obiecał
pannom Szwarz...

Gniew i żal. Po żyłach, nadewszystko, pędem bły-
skawicy gniew. Porwałem się, łyżką: brzdęk! — o ziemię.
We drzwi.

No, uważasz, on tam, nie czekając długo, przypada
za mną, policzek wymierza.

Zahuczało mi w uszach, w oczach pociemniało. Jak
w kleszcze ścisnę mu ręce: Precz! stój! nie waż się bić!..
Wydrze mi się — a byłem, nie chwałąc się, chłop i wów-
czas tęgi — wydrze, całkiem stary oszalał, z krzesłem
na mnie leci... Wychwytuje w mig, o ziemię krzesło mu

rozbijam. Wścieka się, pieni, z okna kij zrywa od fira-
nek... ja mu gruchocę kij. — Wzieliśmy się za bary...

Tak, mój panie, tak. My, wielmoże. My, szlachta od
Jagielly. My — z ojcem syn. — Piers o pierś, napinamy
ramiona, rwie się oddech, krwią oczy nabiegły — ha-ha,
z ojcem syn!

Jezus! Jezus Maryja! — krzyząc, płacząc matka,
siostry lecą. Rozdzieliły.

Samemu zrobiło się straszno. — Matko! — pod no-
gi rzucam się, porywam ją za kolana — ratuj, matko!..
Kopnęła mię. — Widzisz tę na ustach bliznę, widzisz?—
Kopnęła — nie mówiąc już, sycząc:

— Przeklęta niech będzie chwila, w której cię na
świat wydałam!..

Oczy potem, jak pokazać sobie? — Pod jednym
dachem czy podobna żyć? On, czy ja, kto głównie za-
winil? wolny każdemu sąd, ale i każdy przyzna, że dla
mnie — było już po rodzinie.

Wiekem podchodzący, o tamtych wówczas ni widu,
ni słyhu, brat mi jeden wprawdzie pozostawał. Dzielać
się biedą, nasz udział jedyny, korespondowaliśmy z Bol-
kiem. — „Wstyd i hańba, zrzuc łańcuch“ na ogień mi,
ha! dolewał oliwy. Nawet i bilet przysławszy, zalecał:
jedź do Mińska — naczelnik znajomy i uprzedzon, bez
wielkich ceregieli przyjmie.

Dostatki me zbieram tedy; no, nieduże: rubelków
parę w karman, wysłużona pod pachę kołderka — nie
żegnając się z nikim, co pomoże? — nikomu nie opo-
wiadając, ulotnił się w pół godziny.

Rozżalony jeszcze, kipiący... Ale zdrów, młody, sil-
ny. — Ciekaw... Głodno, chłodno — tak. — A i gorzko.—
Hej, hej, byle swobodno! — Kołderką owinion, zębem

o ząb dzwoniąc, wyglądam przez okna wagonu... Byle, byle swobodno!

To i do Mińska przybywszy, panem wnet poczuł się. „Znajcież po cholewach“ roztasował w numerze, za całych dwadzieścia pięć. Z miną tęgą do mego ruszam protektora.

— Da się zrobić, da. — Papiery? — hm, dobrze. — Ale i zaświadczenia lekarskiego trzeba. — Tam, ot, na rogu... patrudities...

Pędzę rysio, dzwonię jak na pożar:

— Pan doktor w domu?

— Wyjechał.

— A!-a — nos tedy na kwintę — kiedyż wróci?

— Niech pan przyjdzie jutro.

Gwiazda zła! — Jutro z dnia na dzień, i jutro. A tu, okiem zda się nie mrugnął, już po rubeljonie. Oj, źle, rozstań się z paradą. Nie dla mnie lokale na dwadzieścia pięć. — Oplaty pięć kopiejek, za piecem u żyda, wyszukał ja sobie nocleg na tapczanie. No, a w dzień? — W dzień ulica matką.

Ale i nie wraca. Jak nie wraca, uważasz, tak nie wraca. — Poszedł i rubel drugi. Przyjaciółka wypróbowana — więcej pięciu złotych żyd pijawka nie dał — pokłoniła się kołderka. Spłaca mię śledźmi. — Śledź na obiad, na wieczerzę śledź. — No, ale i tego zabrakło. Przyszło się głód oszukiwać garścią soli. — Pić tedy, po dniach całych pić!.. tfy, wyszczerza zęby — wodę z rzeki, bratku. — Wypęcznieje — ludzi człek siebie, że syt.

No, ale na tym świecie jest wyśmienita rzecz jedna: prędzej czy później oczekiwaniu wszelkiemu przychodzi koniec. Eskulapa i bumagi doczekałem, z buma-gą, jak na sto koni wsadzon, pędzę — leczę, wpadam.

— Co tak spóźnili? — Żalko. — Rozporządzenie wyszło: nadetatowych nie przyjmować.

To i pałąk w łeb. Do rodziców? — Śmierć wołałbym. Już my za sobą mosty spalili. Zawróciłem na foksal, ale po to — myślę: niech mię ratuje brat — żeby pociągiem pierwszym ruszyć do Libawy.

Bilet mam klasy drugiej, to i w łachmanach mych na pluszu, na poduszkach sprężynowych. Mniejsza o to, Lecz i lichy mi dało wygłodzonych, czy tylko popuszczają pasa nawykłych sąsiadów. Kosze, butelki — jedzą, piją, wypychają sobie policzki. — Obżartuchy! łakomcy! wszystko burzy się we mnie. Radbym rzucił się, od ust, z ręki im wydzierał. Ej, brat, co tu i gadać? — jest, jest w człeku bestja!.. Śpi tylko przytajona — sposobnej czekając chwili.

W Libawie stanąwszy, był u siebie, odnalazłem, wchodzę ja do brata. W niego — jak gdyby piorun trzasł. Hołysz sam, na głowę mu hołysz drugi spada. Słaniam się na dobytek, nogami płacząc... Ha, mruknie, ten sobie dogodził... za czapę i w nogi. Po służbie niby.

Ot, jak!

Oślupiałem na takie przyjęcie. Ale i nadewszystko silniejszy — głód. Szperać, wyszukiwać tedy. — Nic. — Ani kropelki, ani odrobiny.

W kurczach na łóżko padłem.

Wraca on po godzinach kilku — wije się, jęczę. — Cóż ty? — jeszcześ nie wytrzeźwiał?—Wołam—jeść!.. Za głowę się porwie. Samowar nastawiać dopiero, posłał do garkuchni. Daremnie. — Żołądek zbuntował się, nie przyjmuje. Czas jakiś musiałem, jak dziecko, łyżeczkami... Spał za to, spał!.. Ze dwie doby, jak zabity, przespał.

Ja śpię — brat mój biedny troska się, zabiega, lata...

Byle coś na początek... byle, ot, strzemię nodze podać. — Piętnaście rubli w miesiąc — ha, świetnie — znalazło się miejsce droźnika. Powiada Bolek: Nie zechcesz, nie! — Znam was, tobie jeszcze fummy, babcia tobie z laufrem i poszóstną w głowie... — Bolek, Bolek, spójrz na mnie!.. wyskoczę do góry; z radości — ha-ha — o mało sufitu głową nie przebiłem.

Fummy, poszóstna... Kiedyś tam, wśród gromadki naszej, być może... Ale i z kretesem wyszumiało. Powiedzże, mój panie, sam, czy dotąd choćby słówkiem, póki... pókiś mię ostatecznie, co tu i gadać? w rozumieniu swem nie spostonował.

Droźnikiem brata mieć, Bolek, przypuszczam, nieco się przed kolegami wstydzil. Promowan ze stajenne-go, a i biedy, tej prawdziwej, zakosztowawszy, jam się urzędu mego, nowej mej godności nie wstydzil, nie! — Ochoczno z miotłą wzdłuż kolejowego zwiżał się toru; do barjer otwierania pędził, czapę tracąc z głowy. — Ba! ba! — o czym brat nigdy nie usłyszał ode mnie, pucowały się buty, samowar nastawiało pewnemu nicponiowi, od którego zależał... O posadę także mi szło. — Zaszczytną moją, złotodajną.

Było tego — niecałych piętnaście miesięcy. Z łańcucha urwan, niemniej na łańcuchu, do uginania karku zaprawion — mądrość biedaków, jak my — stał ja u mojej władzy, aż miło; awansu się spodziewał — pasem połyskujący, w kubraku fałdzistym, już, już, widział się. — No, i wiatr zawiał. Wietrzyk, ot sobie wiosenny. — Zdrajca, niecnota, lada źdźbło prostuje; burzy wziętą w karby wyśmienicie, zdałoby się, krew. — Mój nicpoń w złym humorze, napadł bez racji, zbeształ. — I, ot, znoszący dotąd cierpliwie, dęba mu nie na żarty

stanąłem. — Tak, tak na chwilę zapomniało się „ruki po szwam!“ i precz wyleciało.

Brat Bolesław za górami wówczas, był już za morzami. Oj, czasy! — Nie życzę nikomu.

Tułam się po mieście, wałęsam. Ruchliwe, rojne — dla mnie, ha! pustynia. Na chybi trafi, od komina do komina, u pierwszych spotkanych dzwonię drzwi. — Najczęściej odprawion z kwitkiem, jeżeli przyjmowan, to — gniewnie, pogardliwie. — Któż pan jesteś? — Ech, nie o to — nic mi nie mówi nazwisko. — Jakież kwalifikacje? — technik, co? — na jakiej mam protegować zasadzie? — Szkół — wcale. — Ano — cha, cha — dobryś!..

Inna szepce: Ptaszkowi z oczu źle patrzy. — Miejcie się na ostrożności.

Znajomych miałem garść. Więcej, niż znajomych. Młode jak ja, chłopcy życzliwe, przysiągłbym, serdeczne. — No, no — póki miejsca w kalecie póki pobrzękacz jeden, póty życzliwość. — Stronienie, jak od zapowietrzonego. — Adam nie poznaje — na drugą stronę ulicy Piotr zmyka przede mną. — Albo i to: Pogadamy, w niedzielę przyjdź — na dzień cały ulatnia się z domu. — Licz na mnie, jak na Zawiszę — docieram, wypytuje: nie wspomniał i słówkiem.

Machnąwszy, trudno, ręką machnąwszy na inteligencję, szedł w szary tłum. — Tragarzy w porcie i taczkarzy, piaskarzy, kamieniotłuków, nosiwodów... Otwartymi ramiony przyjęt może? — Ktoś taki? — Z drogi nam, precz! — Darmozjad! Surdutowiec!..

Ani zarobić na dłużej. Ani gdzie głowy przytulić. Po rowach, to kędyś w gąszczu sypiałem. Lecz i nadchodziła zima...

Żyw do ziemi leż!..

Nad morze, bywało, wybiegam. Wiatr smaga, morze kipi — złe. W dali kędyś przepastnej, olbrzymy rozstrożone, wznoszą się, opadają fale... Dojrzały mię. — Pójdźno, pójdź! warczą — przysiągłbym. — Pójdźno! — pedzą, lecą, potracając się, przewalając... Zawzięte na wszystko co żyje, wszystko co żyje pochłonać gotowe.

Wielkie, wielkie i niebo i morze! — Nigdy ich odtąd nie widywał tak wielkimi. Wielkie, zawzięte, złe. — Wielkie — zaś między nimi ty kruszyna, drobiazg, a w sercu gorycz, ból — niebo, morze nie obejmą.

To i, co poradzisz? nachodzi pokusa. — Giń! — myślę — człecze, na nic, i nikomu niepotrzebny. Ta łza, ten jęk — w woli twej przecie — łza niech będą i jękiem ostatnim. Ujmij ciężaru ziemi. Giń.

A harde, chciwe, gniewne, zawziętsze coraz olbrzymy pędzą, śpieszą, potracając się, przewalają, huczac i warczac, podrywając nogi, w oczy gorzką ciskają pianę...

Już, zdawałoby się już... No, i nagle, wstrząsa mną dreszcz, w górę czupryna staje—zawracam się, uciekam. Do pustego wejść kościoła... W ciemnej kruchcie Umęczonego blade, krwią zbryzgane wyobrażenie. Garnę w ramiona krzyż, tulę się do nóg przebitych. — Zmiłuj się, o Chryste, zmiłuj! — To krew zaleje. — Wypadam, biegnę przed siebie na oślep, złorzecząc dniowi, godzinie, w której srogi ten świat ujrzałem.

Do swoich czemu nie zgłaszał się, nie pisał?..

Swoi, swoi... ha, kiedyś być może, o tem.

Na dzisiaj — połno! — Rozbajał się, aż wstyd. Nicto, u epilogu staniemy ekstra-cugiem.

Zmarł jeden, podał się drugi w odstawkę — a na linji ruch! — Przypomnieli mię sobie — nadojadł nielada — mną biedę podłatali.

Prawda, że w granicach imperjum, lecz ciągly, niekosztowny, ba! — z dopłatą wojaż. Jest chleba kęs, jest gdzie głowę położyć. Liberja — ha-ha — estetyczna i dostatnia, zaszczyt kolegowania z waszmościami...

Czegożby ci jeszcze wnuku mojej babci? — Mleka ptasiego.

No, do marjaszyka siądźmy, brat.

Po naszymu, po staroświecku.

U S W O I C H.

Na drożnika wypromowan w Libawie, zdarzy się, z samych pierwszych dni, zadrzę ją nagle, okiem rzucę za siebie.

Przysiągłby, nade mną pan ojciec... Posłyszę, ot, za chwilę.

— Tuś mi? Wracaj do domu, lajdaku!

Niepełnych lat. — Mocen był mię zniewolić. — Żelazną zagarnąć ręką. — Choćby i pod butem zgnieść.

Ale i nie uczynił.

— Ciebie jednego — do brata napisano — mamy już, Bolesławie. Tamci nie rodzili się, nie żyją, nie znamy ich.

Martwić nie chcąc, rzecz utaił Bolko. — Ha! — w onym czasie może... możebym się i niebardzo zmartwił.

W czasie onym, ze zbytku szczęścia ogłupion wprost, pijan... Jakże? — patrzę już na człowieka — strzemia noga dostał. — Strzemię... ba! — ty w siodle, mój chłopcze, pana ojca nicponiu, gamoniu. — Jeszcze ty, nie bój się, dogonisz niejednego. Widział, jak bankietują, da Bóg, jeszcze i ty u bankietu siądziesz.

Tak ja, mój mości dobrodzieju, miotłą a barjer otwieraniem w wielkie urastał sperandy — cha, cha, cha!

Tymczasem kopiejeczki zbieram, szczędzę. Poco? — Do nitki, dary przecierają się rodzicielskie; odnowy trzeba — to i co poradzisz?

Lecz i „skreć z piasku bicz“ z piętnastu miesięcznie wikt — utrzymanie.

No, no, końca rok nie dojdzie, u mnie już koszulka ciepła, buty po kolana — ba! nawet Jankłowi podszyty wiatrem odprzedał bonżur.

Marność, powiesz — drogą swoją rozprostowały się bary, w oko bliźniemu człek raźniej spoglądał.

No, i śmiech, tego, zdawałoby się, tylko czekająca, ni stąd, ni zowąd na kark mi wjedzie tęsknica. Pusto, cudzo. — Świat szarym, ludzie stali pokazywać się gburami. Rób co chcesz, wszędy nuda, skuka.

Zrozumiał nakoniec siebie. Tęsknię. — Tęsknię — a-a-a!

Za matką, za siostrami, za brukiem tamtym i domowym progiem, za pychą — ot, jak! — humorami pana ojca, za synogarlicą w klatce i świerszczem w kominie... Czy ja, czy ja wiem?

Kładnę się — usnąć nie daje moc czortoska. — Budzę — i ona budzi. Żywego pożera, ssie.

Zdzierży, kto nie doznał.

Nie zdzierzę — siadam dnia pewnego, piszę. Prosto, ot z mostu; górno, jak matka, siostry pisać nie wyuczon. Ale i krwią z pod serca, no! — Tu i tam, bez długich, mówię, ceregieli—winien, znam do siebie, że winien, radi Chrysta, przebaczcie, darujcie!—Tem zakończył: Wrócić?—ziemio rozstap się, nie wróć. Pomocy prosić? to się nie pokaże. Wolałby skreć kark. Jedna jedniuteńka prośba u mnie — w dom niech mnie będzie wolno raz do roku. Wami siebie ucieszyć, nabawić z siostrzyczkami — pocuć, że nie sierota na świecie.

List wyprawion, to i druga bieda. Odpowiedzi stał naczekiwać. Ani mi się roi, że likwidacja, cha, cha, dawno już nastąpiła, dawno już ze mną przekreślone rachunki.

nek. Do łba nie przychodzi, nie! — Piszę raz drugi, trzeci, na pocztę odnoszę sam, rekomenduję. — Ani słowa.

Upor na upor. Zaciąłem się, do pióra znowu zabieram... Wchodzi Bolek. — Ej, brat, zmiłuj się, marki co ty psujesz? — Na całopalenie, żal, no idą twoje konwerty. Nawet i nierozpieczętowane. Ot, jak!..

Z tem i odprawił się.—U niego czasu nie zawiele.— Śpieszył na pociąg.

To i w kwadransy kilka migiem przelecieli. — Pociąg doby tej ostatni. — W nim każdy niemal, z niemi Bolesław — do swoich.

Jeden, jedniutki na świecie został szerokim.

Święta, ot, byli jako i dnia dzisiejszego.

Oplątkiem dzisiaj, Bóg zapłać, przelamał się z waszmością, wieczora onego przelamać nie miał z kim.

W życiu raz pierwszy.

Pomnę, ha! pomnę... śnieżycy, wichura. W śnieżycę, wichurę, poza miastem wzdłuż kolejowego toru, jak bezdomny pies.

Gwiazdki na niebie jednej... na ziemi gwizd jeno i szum, biały step zachłanny.

I tylko w głosie burzy słyszysz, zda się, z tamtych stron idące: Odepchnię! — Przepadnij!

To i odepchnąć się dał. Przepadł dla nich w chwilę ową. Zmógł serce mazgajskie.

Na wozie czy pod wozem, do buta nie przyczolnął się, nigdy już nie zaskomlił, winnym nie uznał się, nie!

Doświadczeniem nauczony, służby, krew hamując, pilnował, a i, co poradysz? wyszukał sobie drużby.

Żył — nienajlepiej, no! ale nienajgorzej.

Z mamzel Jewdoksją my dusza w duszę. Wybierali się na katanje.

Temu dwa lata, jak obszył.

Pisanie oddają.

Spojrzał — zdrętwiał — oczom wprost nie wierzę. — Od matki.

W ten pisze sens: pod sercem nosiła, rodziła w bólach, et coetera, et coetera, synów zdałoby się nie dał Bóg. Przy pierwszym gniazda uszkodzeniu, starych porzuciwszy, rozlecieli się, szukać żeru każdy dla siebie. Nic, myślicie, nad żer? — Idą słuchy, antenatów już swoich zaparliście się, mowy, obyczaj... Co mam prawić?— ze dwie ćwiartki naliczono win i przewin. Górno — niczem ksiądz z kazalnicy.

Czytam, ogarnia złość. Ot, myślę, towar niekosztowny, morały — ot, nieproszony, myślę, kaznodzieja tobie! — Chciał już pismo zgnieść. Nagle — pod ćwiartki drugiej koniec „Nóż na gardle; ratuj, Boga jeżeli w sercu masz!” — pożyczki prosi.

„Zastawim się, wyprzedamy, oddamy co do grosza. Na krótki czas“.

W uszach zapiekło, mój mości dobrodzieju. Gorzej mi swego czasu pan ojciec nie dojechał. — Winien — znów poczuł w sobie. — Winien, hańba, wstyd!.. I ja i bracia... Ech, łajdactwo... Czort katanje i Jewdoksję bierz! — Trzeba mi do swoich.

Mamzel pomogła, miał i swoje zachowanie: urlopowan w tri miga. — Dalejże w portmonietę moje na czarną godzinę bumaszki. — Jazda — no!

W miejscu stanąwszy, znajomego dopadłszy zwozyczka, nie zdzierzę, po drodze rozpytuje: co? i jak?— No, nic tam złego — żywi, zdrowi, mieszkają, gdzie mieszkali. — To i kamień z serca spadł, uspokojon, czut', czut' nie rozweselon przed znajomy ganeczek zajechał.

Bije, ha! łuna z ganku szklanego — z okien bije łuna. Wigilji dzień. Na mój dzwonek, sam pan ojciec uka-

zuje się, otwiera. Ilangiem o pół wiorsty czuć. — Od breloków, dewizek — wyczernion po dawnemu. — Młodszy, co tu i gadać, ode mnie.

— A! a... dawno niewidzianego... stropił się, powiadam ci — odstąpił kroków kilka.

Tuż i matka. — Ty, mój synu?.. Ciebież to ja widzę? — Ty!.. rozczuli się: moje, moje dziecko.

Posunęła się, niebożatko. — Ręce drżą, piękne włoski czarne posiwieli. Porwie mię żal. Do nóg przypadam, całuję ręce, kolana: mileńka — witam — droga, moja ty, moja... tfy, do stu piorunów język splącze się, mamasza, wyrwie mi się ni stąd, ni zowąd.

— Co?.. Coś ty powiedział?.. rączkami za szyję, oczy szeroko rozwarła.

— Uspokój się, gołąbko — nie po naszymu, ale i przez Jewdoksję, rozumiesz — ja tam jeszcze poprawił.

Mdleje.

To i masz djable tabaki... Zemdląła-no! — Z tych pań delikatnych mdleją łatwo.

Z flakonami siostry nadbiegają. U nich sukienki, szyk — na głowach koki, fioki. I eter i kolońska, i matuś, matuchno, matuniu... otrzeźwili.

Skonfuził się, co poradzisz? — Kryje śmiech, pan ojciec wąsa przygryzł — ten, myślę, nie żałuje mię, nie. — A ja, ja miał czego na łeb tu śpieszyć, na szyję... I z moja, cha, cha, portmonietą... Z mojem, ha! grubijaństwem i chudopacholstwem. Ratować myślał. POCO im ratunek? Gdzie tu nóż na gardle?

Rozglądam się dokoła. Ciepło, mój mości dobrodzieju, widno. Po ścianach, jak i wisieli, wiszą zczerniałe w ramach złoconych antenaty. Liczę, poznaję, jednego nie brak, meble nasze staroświeckie. Po kłatkach (i w tem się kocha) synogarlice, kanarki. — Perłą sadzo-

ne szkatuły cieniutko melodie wygrywają przeróżne; z wyszywanych poduszek pызate i rumiane wyglądają pasterze, pasterki.

Stół pod obrusem. Kolorowe na nim opłatki — więc i srebra od dziadów, pradziadów. Z cyframi, koronami. Cyfry chorażych, podkomorznych (matka uczyła kiedyś) babuni też z laufrem poszóstną.

Matka popłakuje. — Mój mości dobrodzieju — stary powie — dziwaczysz. Siadajmy.

Przełamaliśmy się opłatkiem; za stół siedli. Milcze, z konfuzji trudno mi ochłonać; pan ojciec pyk, myk, po swojemu. Parlują damy. No, parlują, bo i corazto między sobą parle franse. O tem, o owem. Zjechało na braci.

— Z synami Bóg nam nie poszczęścił — westchnie matka — gorzko, ach, ciężko!.. ćwieczki do trumny wbijają nam oni.

Tu kucharka szczupaka — paluszki ot, całować — wniosła. Faszzerowan z żydowska po upodobaniu ojca. O wino zawołał. Winem szczupaka my i sprawę zapili.

Wina! rozochocił się, mnie dolewa — jeszcze, jeszcze wina!.. To i co poradzisz? jak lewarem ciągnę, w oczach się ćmi, kurzyć poczyna z czupryny. Wrócił rezon, język się rozwiązał — plotę. Co splotę — chocia pół pijan, widzę doskonale — pan ojciec z pode łba zerk, na panią matkę, oczy do góry podnosi, wrzusza pani matka ramionami, siostry z naśmieszką trącają się pod stołem.

To widział ja, uważał, należycie zapamiętał, chocia i, no... chocia pół pijan.

Po kucji, z poduchą pod nogi, rozparł się stary na kanapie. Parawanem ode drzwi zasłoniła. Z papierośnicy, inna znowu, lecz i fajny papierośnica, papierosa za papierosem... pyka — milczy.

Mnie siostry do fortepjanu zaciągnęły. — Już tam w czubku i u nich. Bije w klawisze, ile sił Fela; do wtóru smykem po skrzypicy nienajgorzej przebiera Marynia; śpiewają, stał im pomagać, na cały śpiewany głos „W żłobie leży“.

Tem, koniecznie, nie ukontentowali my siebie. Dalejże, jedno po drugim — skąd i bierze się, niewiadomo. — Z samych dziecinnych lat, z samych czasów dawnych. Facecje, ot, mój panie, figle, pustiaki... Może i znajome „Była babula rodu bogatego“, czy też „Moja Maryniecško, płynie kamień rzeczka“... Nieznajome, nie?... to może —

Był to Jan, był to Jan,
Co chodził z toporem —
Opasywał się kijem
Podpierał się worem.

Wtem od siebie pan ojciec basem z kanapy huknie:

Wypił Kuba do Jakóba
Jakób do Michała —
Wypił ty, wypił ja:
Kompanija cała!..

Wpadają w ton: Fela w klawisze bije, rznie Marynia po skrzypicy —

Wypił, wypił, nie zostawił
Hu, ha, nie zostawił!..
Bodaj go Bóg błogosławił
Hu, ha, błogosławił!..

W tenże czas i ja za niemi:

A kto nie wypije
Tego we dwa kije,
Łupu, cupu,

Cupu, łupu
Tego we dwa kije! —

Huczym — o mało szyby nie wypadną.

No, i co powiesz? — świeże, dawne urazy, marcowy pod słońcem śnieg mój mości dobrodzieju. — Zapomnian, zdawało się, obcy już tam siedzi, żal, zapomnian — ot, nic! jak żyw, jak wymalowan, jedno już tylko na oczach — daleki nasz, kochany dwór.

Łupu, cupu,
Cupu łupu —
Tego we dwa kije!

Grzmi w przyśpiewek ten muzyka najęta. Rojno, szumno. Brzęczą po salach oświetlonych z końca w koniec kielichy, pod okna jak z pistoletów, trzaskają z barta kuczery... Bez blagi.

Nietylko to. Pamiętasz? i pamiętasz? my jeden drugiemu. Swoi znów. Ha, swoi! — jednaka, znać po wszystkim krew, pamiętki, czut' nie myśli jednakie. Swoi — no!

Mało pomału oprzytomnieli my nieco, przycichli nawet i posmutnieli. W porę. — Kościół o sto kroków, znajomych podostatkiem, z przedpokoju brzęczy a brzęczy dzwonek. Częstować herbatą, bakaljami... Społem iść mają na pasterkę.

Nim to nastąpi, no, matka za fortepiano siadła. U niej wraz inne dzieło: gra poloneza. Znajomy waszmości — nie? — modny był za moich lat dziecinnych —

Nasz Stefan Batory wielki,
Gromił Moskwę i Tatary —

Żebyś to widzieć mógł, jak oni z końca domu w koniec, rycersko i szarmancko w tańcu tym sunęli — ban-

kiet oczom wprost!.. Tamci, tamci, nad którymi mogiły już, tak, tak, co poradzisz? — mogiły lub zapomnienie...

No, ale grała dalej, z nią siostry śpiewały —

Nie nosił fraka — kamizelki,

Lecz żupany i czamary.

Wiwat!..

Wiwat!.. przerwiem, hukniem ilu nas było

Wiwat Maj!..

Wiwat Maj!..

Niech przepadnie.

Do rymu i sensu dobrać, waszmości, panie dobrodzieju mój zostawuję.

Tak bawili się my, zabawiali — o północy, ławą całą ruszyli na pasterkę.

Cała, ot, ławą!

Było — nie będzie. — Dla mnie, żal! zębów zgrzytanie... ale nigdy, nigdy już nie będzie. Kruti nie wierti, zgubion ja człek, zaprzepaszczon... Wolał nie rodzić się, do ziemi święconej dzieckiem wolał zejść!..

Skąd u mnie ta chandra? pogładasz...

Z narowu ot, starego, z wiecznego nierozumu, z serca we dwie szarpiącego się strony. — Szczęściem powinszowali mię. — Tak to... niby... Szczęściem, ha, kto wie, może od nieszczęścia gorszem. — Ale i poño, poño! brat. Zapomnij, co słyszał. Do rzeczy wracajmy.

Z kościoła do łóżka wprost. — Miętko, biało, pachnąco usłali. Nawet i nie przywykł. Zmęczon, że to—ha! padnę, myślałem, spać będę jak zabity. A — nie! — Krew szumi w żyłach, myślom uspokoić się nie daje. — Że ja u nich, z niemi, nad dziwy mi dziw. Że tak odmiennie a miło, po naszymu przeżył. Więc i ciekawość— czemu skarżyła się? pożyczki na co potrzebuje matka?

Usnąć nie mogę. Nie śpią i siostry, no! — Z poza ściany szepty, chodzenie słycać. — Krzyk się na cały dom rozlegnie. Znowu jęki, zawodzenie, krzyk. — Cóż tam? u diabła ciężkiego... Ej, głupstwo, głową, mieniem się złem skarży się Marynia.

Głowa... ot, i kaprys!.. od czegoż dokazywała? — Przejdzie. Octu a wody, przejdzie w mig. — Nie przechodzi, co poradzisz? — Sprowadzili nad ranem doktora.

Zbadał. — Nuże — powiada — wody mi dajcie a mydła. — Macie karbol? — Karbolu kupcie tam sobie. Tyfus w mieście — no!..

Matka w spazmy, w szloch. My ratować. — Nadszedł i ojciec z oczami od snu nabrzęklami. — Moje ty wszystko — na ojca woła — mam łaski odrobinię, do cioci natychmiast wyjeżdżaj! Spokojniej nie miałabym chwili. My tu jakkolwiek... Cioci przedstaw, powiedz... Siebie i nas podratujesz.

Na to, ha! jak na lato. Migiem ulotnił się tatuś.

Ruszać i mnie trzeba. — Assygnaty, widzę niepotrzebne, w portmonietę wcisnął — łachy swe zebrał do kupy — w drogę, mości dobrodzieju konduktorze—mus!

— Mus! — ręce załamię, w fotel upadnie matka — w tej biedzie, ach! — w tej naszej strasznej biedzie... masz ty serce?

Wzdycha, łzami leje, oczy w górę wznosi. Od nędzarzy, biedaków uskarżać się pocznie. — Obleje mię war, okiem dokoła powiodę. — Matko — rzeknę — radi Chrysta — magnaty wy, przy chudopacholkach, synach twych.

— Nasze — zakrzyknie — myślisz? — Naszego tu nic. — Zastawione, albo i opisane wszystko do gałganika. — Gorzej. — Chore, ot, dziecko — na doktora nie

mam. Ojciec rubla wywiozł ostatniego. Wyjechał, tak, i ty może przypuszczasz... dowiesz się, nas ratować wyjechał. — Ciotka, wiesz zamożna, gdy tu... tu, o Boże! odmawiają już kredytu — na procent najwyższy, tak... Berel nawet, nawet Szloma...

Ryknę ja płaczem, bumaszki moje wysypię jej na kolana: Bierz, zabieraj, matuś, biedna moja matuś...

Ścichnie, tuli do piersi, w oczy, usta całuje: Zbawco ty mój, chłopcze serdeczny, wiedziałam... nie zawiodłam się na tobie...

Słówka takie, przytulenie... Stopniało serce mazgajskie. Gotów na koniec świata.

Został ja z niemi. A i przydał się, niema co. Siostrzysko spore, bujne, z łóżka przenoś na łóżko, lodem na głowinie dniem i nocą dopilnuj, w wannę raz po razie kładź. A tu wpadają, matce impertynencje robią dłużniki, a tu, mdłości, spazmy, wszystko widziała czarno—więc i wmawianie: Listu niema — tem lepiej, wróci lada dzień.

W męce, w strachu, w niewyspaniu przeżyliśmy dni dziesięć. — Jedynastego „Uratowana!“ doktor ucieszył. Tuż i telegrama: „Wracam, interesa dobrze“. — Dobrze -- rozumiej, pieniążki są. — Oj w porę. Z moich nic już nie zostało. Gorzej — przebiegać mię poczynali przekłete jakieś dreszcze.

Radzę się, ten powiada.

— Bagatelka. Miejsce, ot bratku zmień. Umykaj, póki cały.

Matka na mnie, mój mości dobrodzieju, jednym okiem już tylko patrzy, z radości czut' nieprzytomna. — Jedź, mój synu, jedź. Błogosławieństwo moje z tobą. — Dobry ty, ach, poczciwy. — Jedno mam do zarzucenia,

mój synu, moje dziecko, przed czasem nie chcesz mię widzieć na marach, pomnij z jakiej ty krwi, jakiej ty wienien służyć ziemi, etc., etc...

Górno mówić przyuczeni... Górno — ha-ha — nie tak łatwo żyć. — A jeszcze hołocie, dobijającemu się kawałka chleba... Zostawcie!..

Szczęścia, ot i teraz doświadczył po swojemu. — Póki cały — powiada mi tamten — umykaj. — Całym podobalo się znaleźć. Nie daj ci Boże całości takiej, no! — Umykam, ale i choróbsko już w sobie niosę. — Z samego wniścia do wagonu, jeszcze tam coś w uchu hrzeczy, w głowie coś tam jeszcze się płacze, a już... już goreję, czadzieję...

To i w bolnicę dostał się, przechorował, głową mało nie nałożył.

Tak, mój panie. Czut' nie pożegnałem tego świata i jego marności. Przez felczera pijanicę. Żulik, pijanica — o! — Dobrze poznał go ja później.

Było tak: przesileniem choroby w sen zapadłem. — Młody, silny—choć i trzyma za gardło — borykam się z panią śmiercią, śpię ot, sobie, a śpię. — Dołożono face-towi. Przyjdzie, oglądnie:

— Ten, oto, ha!.. po trzecim dzwonku, sznellcugiem odprawka... Odtaszczyć do ciupy!.. Na oczach ma guić?

Do ciupy odtaszczyli.

Ciupa — maleńki, ot, na ulicę pokoiczek. Okno, pod niem stolik, barłogi dwa. — Miejsca w sam raz, żeby się nie udusić. — Tam, bez żywego ducha przy mnie porzucon.

W tę porę — zła moja dola sprawi — znalazł się i drugi do Abrahama na piwo kandydat. — Telegrafist, człek młody, z męką, co, Boże strzeż, kończący się su-

chotami. — I tego mój żulik po czasie niejakim zakomenderował — do ciupy!

Wleką tedy nieszczęsnego. Rozkrzyżowan, przez ręce im leci. Człek długi, czarniawy. Nogi wyschłe, piersi jak miechy, koszula rozchełstana...

Do pokoiku wtargnęli z trzaskiem.

Nie zbudzili, nie, zbudzon już byłem. Wrócon z progów tamtego świata, samym sobą i wszystkim dokoła zdumion, przerażony. Co chwila, ot, w przepaść głową na dół spadający.

Widokiem uraczyli. Żeby i sto lat życia nie zaponnę. Tej zwłaszcza mój dobrodzieju, piersi, co rzezi a chrypie, zbrzękłej twarzy w drgawkach, źrenic zataczających się do niewidzenia już... Taki słabiutki przed chwilą, ale i siłą nieludzką targnion porwał się ja, na łóżku siadł. Wzroku, słuchu dziwnie ostrego, przed chwilą zgoła nieprzytomny. — Precz!.. wołam — zabierzcie... Precz, zabierzcie, precz!.. No, i oczy wpił — oczu odwrócić nie mogę.

A oni?

Patisze!.. Nie zdechł jeszcze, brewerje wyprawia skatina.

Wyszli — drzwi zatrzaśli.

Oni we drzwi, ja rzucił się w okno. W okno całym sobą. Mróz był trzaskający. — Środkiem ulicy w mróz trzaskający i z wrzaskiem pędzącego nieludzkim, zabrał ront i do bolnicy panom dozorcóm, felczerowi odstawił.

Furjata już całkiem, no! — W kaftan krępowali.

Ale takiego to kołem tłukąc nie zatłuczysz. Wylizal się, czego dowód masz w poznaniu mię waszmość; za przyczynieniem się panny Jewdoksji awansowan, szczęścia poszukał nakoniec...

Poszukał, i — znalazł.

Znalazł, do stu kaduków!.. Chwała ci, odstępcó, głupcze, ciesz się — ha-ha-ha!..

Nie bajałby daremno... Krasawica, przylipeczka... Ho, ho, nietylko Jewdoksja, wszystkie tam Zosie, Marynie jej małego niewarte paluszka.

A i to łgarstwo, mój waszmość, wspomnieć ohyda, jakoby z muzyków. Tulscy mieszczanie, no! — dziadunio isprawnikiem był.

Połno. Głowę nadurzył. Czas już zabastować.

Ojciec? matka? — Ha, nieźle tam, nieźle... Ciotunia skończyła zapisując. — Panują.

Ot, jak!..

NA PODGÓRZU.

— Mrumru słyszyta? — Ooo, cobych se nie rozciptało, nie zabrukało! — Kce se rozciptać „mrumru“, jako i tero czyniom se ropucho a żabo. — Zaś wiater dmucho, my w sadeczku zasie pani dobrodziejko—no?

— Wśród gór niedługo już będę — chcę je sobie zapamiętać kochana pani Szarkowo.

— Szkodo was. — Ale i pomyśla, z nami ostańcie pani. Grontu kupicie, zbudujecie se dom.

— Tu — w Myślenicach?

— Tu se, na podgórzu. Wedle Chełmu—jej, wirch!—boru onego, Raby se dopiro.—Miejsce je przepikno—nie?

— O, tak.

— Myślenicko Szwajcarjo goście nazywajom. A jeszczebych wiosny doczekali... Póńdom ta wody z szumem, gardziolki swe rozpuszczom słowiki — jej, pamiczko, raj!..

— Wierzę. — Ale czemu pozwalacie obcym do raju? — Węża przypomnijcie.

— Hale!.. Panowie dobrodzieje, panie dobrodziejki nie wąż—Myśleniccy nie Adam i Ewa. Barżoć was gości lubimo jej, barżo. A i wamo dobrze je u nas — nie? — Chodzita se po wirchach naszych, powitrze, o jako zdrowo! spijacie, Rabo, rzyko szumno, krzepoty se wamo przydaje. — Nie?

— Ależ — tak.

— Zysk dopiero!.. A i namo zysk. Powitza i wody nie żałujemo — żałowałibych!.. inoć ze stówek was o-bieramo, no! — Śmieje se, paniczko?

— Te stówki to już wcale niepotrzebne. To i wąż.

— Cobych gości nie mieli, skapieliby do cna. Nie żałujta. Bidnoć je ludowino. Jo samo na książki, albo i na kawusio miałobych? — jej, nie.

— U was podobno kwatery nigdy nie próżnuje.

— Hoho, znajom ta Szarkowo Krakowiany, Krakowianki. — Hoho!.. I z Litwy doczekało. Miałoć i autory — no!

— Autory?

— Nie autor-li Bałucki? — Pan Michał Bałucki!..

Oo — baržo mi se uda!.. Dorzeczno człek, zaś i pisze, czytali? dorzeczno. — Śmiech ino. Jom se im, pani dobrodziejko, zamęzcie wywróżyło. Zaś zaś. — Przyńdzie panno do mnie. — Jej, cni mi se, Szarkowa, wyrzućta kabało — wieta, com kabalarko — dostanieć mi se kawalir, no? — Pójręc w karty — ha, panno, ani se cisz kawalirem, ani — ni. Za kdowca póndziesz, do tego z dzieciskiem. Na moje wyszłóć.

Wy zasie pani, dobro je kalkulacyjo — pomyślta jakobych kupili, pomyślta.

— Nie kuście. — Wielka to pokusa. — Nam polakom w ziemi naszej rodzinnej kupić ziemi kawalka najmniejszego niewolno.

— To se wie. — Przez prawa żyjeta i konstytucy-i. Nie jako je u nas. Hale!.. mammo se konstytucy-jo. — Cysorz podarował. — Przedoj, albo i kup, czyńta, co ino kcecie, ludowino.

— Któżby odprzedał? — W gruntach tak bardzo się kochacie.

— Jo zasie.

— Wy? — coście zbierali, bronili, napracowali się tyle...

— No!.. Aleć i odprzedom, nie trza mi już tyła, pani dobrodziejko. Centa mi trza. — Oo — baržoć se łakomo uczyniło na centa!..

— I to mnie dziwi. — Uchodzicie za bogaczkę.

— Byłobych se dopiero, aleć krzywdo nie dało. — Krzywdzono, jej krzywdzono. — Krzywdy mej sporo żywy ma i umarły. — Niechta!.. Umarły niech ostaje z Bogiem — żywego, skoroć i centa nie stworzy, dusić w dziady se cale prowadzić — nie uczynię: zaszargalobych se!..

Nie bogaczko, nie. A trza se na wszystko.

— Ej, ej, macie na wszystko. I rola i goście dają. — Dają i pieniążki na procent złożone — nie?

— Dajom ta.—Inoć bierze to i drugie, posłuchalibych:

Odrobo se popirwsz bierze. — Chłopy o jako se namo popsowały!.. Czynił za centa — za papierka nie uczyni. Zaś! — Czynić ma, skoroć już „panie, panie“ la-da goral goralowi. Jej, Boże, Matko Najświętsza, za mej młodości tegoć nie bywało. — Mówiono se: Kumie — oo — gazdo, inak ongi nie mówiono. Alboć i: Talaga, Proszku, Patyku, Bajduro — po imieniu se — no!

Som pany — to i ciuro każdy, pasterz, dziewucho, alboć se i cale późniok pańsko pensyjo, zaś i wygodokom. Ila bierom Kasio i Nastko, wieta pani moja, wieta? — Po pięć reńskich se!.. Przyodziewo, a schludno, jeszcze daj. — Pracujom, ale i każom se płacić podwójnie.—Zaś, zaś. Takiemo ziemniaki a chlib, kukurudziano sutko — ej, nie!.. Mlika mu syrów, chocia i białego z miasta piroga. Nie byłbych od kawy. Masła samego, wiarę dacie? bez lato wyszłó mi korcino — jej, jej! Rolo zasie. Oo — gadzino nie bedzie łakomo, uparto,

jako je rolo. Służ najbarziej zawdyć ta i zawdy kce. Lubimy se jom. I jo i Szarek. Służymo, no! — Ziarna jak złoto widzieli po somsiekach... co se myśliła ha? — Żyto sieliśmo hiszpańskie, pszenico z Francy-i. — Hale!.. I my se niczego. — Chorował Szarek, jabłka dlań z samego sprowadzałam Wiednia!..

Nie Bajduro, chłop ladajaki, trza go szanować, paniczko. Nie Bajduro, nie! — Cysarski przyjaciel, człek se magistracki. Wszystko poznał — jej, jej, na Węgrzech, w Itali-i — wszystko se wie. — Przez rożka i kawusi nie ostawiłam dnia jednego — kucharko nienajgorszo, przez obiadu nie ostawię porządno. Mydła nie żałując — schludno se a biało nosi — jej!

Trza centa na wszystko.

Manio mało kosztuje? — A książki, a suknie, a nauko u szwaczki, a też trzewiki? — Trzewiki — ooo!.. Do miasta co dnia, drogi ze trzy kwadrans, kozo se, jeszcze jej mało. — Po krzaczach i w boru, pod wirchy dopiro, po głązach skryzali, zdarzyć se i wodo buchnie — paromi, jej! — zdziero we trzy miesionce. Kozo, kozo se.

Bez to i dobrze dziewczucho. — Powitrze naszo. — Tłuścieje — oo — dobrze. — Ręce jakie? — ot, cepy. A nogi!.. Pomyślałbych kto, roków temo trzynaście, kiedy mi jom, siroteńko, podarowali. — Skóreczko se a kości.

— Babcią nazywa. — Pani, zda mi się nie miała dzieci.

— Jo? — Nie uwierzyta ino. Siedm, pani dobrodziejko, i sześćdziesiont. Cha, cha, pokażta kobiecino, cobyh przysporzyła tyła — cha, cha...

— Trochę się domyślam...

— Krześniaków — no!.. Siedm a sześćdziesiont „matko“ nazywajom — to i powago. Przyńdzie święty

dzień, z dzieciskami owemi — som ta chłopcy, kobiecinny słuszno — zasidom tu, w sadeczku. — Kiebych w wieńcu lelijo, albo i Szarek w magistracie. — Rajcujemo se, wiecujemo. — Dzieje se po chałupach — wszystko wiem. — Niebarżoć se — oo — dzieje przez pozwolenstwa, rady mej.

— To w święto. — Ale i w dzień powszedni nachodzą was bez końca.

— Nie wieta com lekarko? — Jej, jej, zawołano! — Wszystko se mom, wszystko u mię znańdzie. — Ziela wielorakiego, w dolinie Kobylak zbirano, pod wirchy, nad potoki. Je szpirytus na węże nalano; maście som: niedźwiedzico, borsuczo; som ta...

— Pigułki Morissona?

— Zaś!..

— Któż jest Mania?.. powie mi pani?

— Opuszczono, jej! dziecino. Zmarło se matce w panieństwie. Żyje ojciec, dla niej se jakobyh nie żył, lodaco. — Dzieci nie mam, za córko wzięniśmo. — Uczono bedzie, bedzie gospodynio. — Oo!.. Ale kań, paniczko je kalkulacyjo naszo... Kupujeta?..

— Nagle tak? — Nie. — Jeszcze pomyślę.

— Jej, Boże, Matko Najświętsza, udałobyh se mi somsiado!.. Przy piniondach. Dorzeczno zasie. Jo i Szarek zrychtowałobyh wamo dom!.. Pikniejszo se od moinego. — Co duszo kce, wszystkobyh przedowało. — Zimo przyńdzie — głośno czytałobyh namo. — Dlań Gazeto narodowo, powieści dla mię. Lubię, jej, lubię powieści — oczy ino szwankujom. Pomyśla, żyliby, jako dusze bratnie — no!..

— Nie mogę. Tak nagle nie mogę.

— Na powitru naszym wydobrzeliby, pani dobrodziejko. Wzięno by ta jeszcze w ręce! — Tłuściutko

uczynilibych se, rumiano. Jakom je. Staro, aleć i niczego se — oo — kobicino!.. Nie zaś?

— Oho, wcale nawet niczego... wcale...

— Bez co zasie? — Powitrze zdrowo popirwsz, powtór — ha! — bido a harunki. — Onoć horo, bido, kukurudziano sutko, dym se w chałupie, oneć ta mi one zdrowia, krzepoty, na cały wiek mój przydały. Zaś. — Prawdo mi powie dnia onego dziadówko, znajomo dawno, jej, dawno!.. jeszcze se z Krakowa.

Posłuchajta ino.

Przychodzi do mię babo spaso, tęgo — jej, tęgo!.. Oczu w sadle nie dojżry, trzęsom se fomfrele, bary — niech se i niedźwiedź zawstydzi. — Wito mię. — Jo jej: Ktoście? nigdy nie widziałom. — Widzielišta mię, prawi, jej widzieli, paniczko — lato złe, Kraków przypomnijta. Dziadosko przypomnijta dziecino. Jako mię ratowali, chusty, paniczko, uprali, do własnej wzięni pościeli. — Jej, bidno, jej wyszło byłom, jak trzasecko! — Nie wiewta jeszcze? — Dziadosko, no! wyuczyło was piosenko:

Idzie Hantauer po moście —

A do niego jadom goście...

— Wyścieto!.. krzyknę — nigdybych nie poznało!.. Spaśli se dopiro...

Ono zaś:

— Wiadome ta — gargasilo, horowało — wiadome: kogo nie umorzy upasieć se bido, bestyjo.

Prawdo je. — Aleć i morzyło lata onego — w księgach nie czytali? przez liczby, jej! rachunku. — Rolo nie kciało dać. — Ni chliba, ni szmaty, zbidnieje dopiro, cale — oo — na dziady zeńdzie ludowino. Po krzach, drogach, zaś i miastach, wszędyć ta — z głodu, mizeryi umiro wszelakiej —

Boże, Matko Najświętsza, trapić — oo — kciałoś takie tam bidactwo!..

Je i na Kraków, no! — W okna se, we drzwi pchajom, wrzask, lament podnoszom.

Nastawi matko co dnia ze dwa gary. Jedenci grochu, kapusto se drgui. — Ty, Józiu, dziel. — A było chochło, tak zwano dziadosko. — Onom se czerpało, dzieliło, rynki, dzbany rozliwało. — Naści grochu niebożę, i kapusty naści.—Udać mi se dziecino, albo i babusio, to jom bierę do siebie, umyjęć a uczeszę piknie, pościeli nie pożałuję. Bez to i służko dziadosko mię doma nazywano.

Roboto — jej, jej! — mom. Aleć i siedzę, gadom. — Gadom a gadom — próżniok se cale dopiro.

— Małoście się dzisiaj napracowali? — A i dwie dusze bratnie jesteśmy — nie?

— Zaś, pani dobrodziejko. — Chmurka se. Bedzie — oo — deszcz.

— Idzie nawet. — Z nad Ukleiny.

— Mrumru... ha! żabo zawdyć i wygado.

— Bokiem idzie. Chełmu nie dosięgnie.

— Grzeczno je góro naszo. Kce na niom cobych pozirali.

— Ale i cóż się tam przelewa, rozwiewa? — Mgły chyba... Widuję co dnia...

— Hajnok hań? — Z kominów dymy. Ładno miejsce — o! — wedle potoków — mieszkajom se hań — cha, cha — dzieciska moje. Stróžo wieś.

— Tak wysoko?

— Nie zabarżo, nie.—Pod wirch sam je wiosko drugo. Patykowo. Jej, jej, pod wirch!.. Wody se wielgie

majom, źródła, stawiska ogromne. Len a konopie moczyć — wygodno. Ino co miejsce kary było przed rokami. Jako Sybir u was. — W Stróży sidziało straż, cobych na podlesie bidactwa nie puszczoc. — Zaś.

— Konstytucyi nie mamy, wiecie; mamy Sybir, i to wiecie — czego wy nie wiecie o nas?

— Jej, jej, myślita? — wszycko se. — Święte se gaje mata, nie? Wężeć a wajdeloty... Nie mieszko w Wilnie Krywokrywejte z ofiarniki? — Ognia, Zniczem— oo — przezwan, nie pilnujom? — Hale!.. Pytajcie jako i kceta, wszycko wamo powiem. — Pojato se, córo Lezdejki czytało. Zaś, zaś. — Widziałom Częstochowo, aleć i one dziwy kciołobych ta użreć — no!..

— A jeżelibyście nie znaleźli? — Jeżeli nasz Krywekrywejte, biskup jak i drugi? — Jeżeli Wajdeloty nasze księżom całego świata podobni? — Jeżeli zdarza się i nam węże bez ceremonji zalewać spirytusem?

— Jej, paniczko, słuchoć jako nie lubię! — Wy zasie nie wieta — po dawnemo se wszycko je. — Nie wieta, kryjęć se przed wami ludowino, księżom cobych nie donieśli.

Hoho — jako je u was! Pikno a bogato. Roków a roków bedzie, Litwo na Litwowie samsiada mieliśmo.— Zaś bogacz!.. Krów se dwanaście trzymoł, owiec dwanaście, wołów, takie wołki ładne! — par dwie. Do tego dwie dziewuchy, skotoków dwóch, parobków se dwóch. Na tym groncie czterech tero siedzi gospodarzy: Rusek, Patyk, Szperka, Tyczka, bydła zaś tyla nie majom.

Ważno je Litwo. Litwo zasie, no! Mickiewicz, co go przed Sukiennice postawili. — Byłom. — Jej, ludu, a wieńców, a gadonia! — Wstęg zasie. — Przepikno — udałyć mi se wstęgi one — jej, jej!

-- A Mickiewicz?

— Niebarżo — po chwilowym namyśle rzekła Szarkowa, dodając:

Takci je gorko u was, powiedzta paniczko, że mu na powitrze naszo płaszcz — oo — wielgo dali — wielgo, jej, Boże, Matko Najświętsza, płaszcz!..

BĘDZIE JAK W RAJU.

Uzbrojone w grabie, chusteczkami osłonięte, służbę zabrawszy całą, pani Aspazja z córką starszą ruszyły do sianobrania. Młodsza, pieszczochę, zostawiono w domu. Nie chcąc narażać atlasowych rączek, twarzyczki alabastrowej? — Zapewne — ale i dlatego, że dzisiaj, być może... pan Jan...

Wrócił, wybiera się — lada dzień wybierze, przez Hirsza, pachciarza w Rozalinie, doniosła Fejgiele, w Górcie pachciarka. Wzruszona mocno, z panińskiego jeszcze sepeciku, pamiątkę rodzinną, pani Aspazja wspaniały wy dostała sygnet. A nuż!.. a nuż!.. Trzeba go mieć pod ręką. Ten ich pełen życia, lecz zadomowiony sąsiadeczek pocóż jeździł do Warszawy, jeżeli nie po pierścionek, upominki dla „małej“? — Przeciągnawszy i tak starannie, z oświadczynami, czyliżby się jeszcze ociągał? — Ten ich pocziwy z kośćmi, opatrność prawdziwa. — Przez ojca nieboszczyka sierocie biednej uproszony.

Dwa lata niepowodzeń gospodarskich, zaległe raty bankowe, na wiosnę — ile łez! — już je wywłaszczać miano. — Płakała nawet i Tola, pierwsze — z kaprysyku czasem — ale i od śmierci ojca pierwsze na serjo łzy. — Błogosławione — także jej z niemi cudnie było! — olśnienia doznał wprost.

Chłodnawa dalekiego sąsiada kondolencja w szczyry a energiczny — ratować! biedne, osierocone kobiety ratować! — przeszła nagle zapał. — Spuść się na mnie,

pani dobrodziejko, przez ogień, wodę, przez miedziane trąby gotów jestem dla was! — niebo, ziemię, gdy trzeba i piekło poruszę!..

Ta chwalebna gotowość szczęściem nie naraziła go zbyt. Z poręką jego zaciągnięto pożyczkę, biedę załatano. Bardzo niedoskonale i bardzo czasowie. Ich ukochany, starań, zabiegów okupiony tysiącem, wciąż jeszcze nad przepaścią Rozalin.

Górki swej nie narażając, utrzymują niektórzy, w tych pań kłopoty wszakże uwikłał się p. Jan niezaprzeczenie. To go do bywania częstszego zniewalało. — Czy tylko to? — Prześlicznie Toli ze łzami, lecz i z uśmiechami bywało prześlicznie.

Że ją o zaprzęgnięcie dziecka pomawiać będą, wie dobrze pani Aspazja. Mniejsza. Do winy się nie poczuwa. Zbadała doskonale serduszko, zbyt niedoświadczone, żeby wzruszenia swe taić umiało. Kocha dziewczyna. — Nieświadomie, ale, jak Bóg na niebie, kocha. — Tęskni, wygląda, na ustach wciąż, za przybyciem w humor wpada brylantowy. — Znamy się, o!... I myśmy były młode.

Co za dziw zresztą? — Swego czasu, lowelas to był przecie nad lowelasy, l'irresistible, zjadacz serc prawdziwy. Trochę podobno i nadużył... dzieciństwo! — trzyma się doskonale.

Fundusz, stanowisko: podrzędne to, lecz ma swoją wagę. — Szczególniej dla nich... Maryjo!.. szczególnie dla nich... Górka tedy bez grosza długu, przebąkują o kapitałach; rezydencja pańska, wysłany, trochę i na zwiady, Hirsza ce, ce, ce — w palce się cmokał z podziwu; ogród, park raczej...

Głośny, rozgłosu godzien. Same już dowodzą kwiaty, któremi je pan Jan od wiosny zasypuje. Róże i chry-

zantemy, tulipany, konwalje, koszami, koszami całami... Jak ten człowiek ją kocha!.. Jak dobrze jej u niego będzie! — W raju za życia, kochanie. — Toluś, dziecino, ach, w raju!..

Jeżeli rajem stać się ma dla niej Górka, to już raju przedsmak ma Toła w Rozalinie. Szczególniej, odkąd starającego się dostała. — Klejnocikowi p. Aspazji, pieśczętce Janiny, siostry dużo starszej, do szczęścia tego już tylko brakowało. — Ma kogo dręczyć i przewodzić komu, kogo zachwycać, czarować.

Zostawszy samą, Toła pośpieszyła drzwi zarygłować, okna wszystkie odemknąć narozcież. Parę tygodni lało jak z cebra, od kilku dni dmie wietrzyk, przyświeca słońce. — Bywaj wietrzyku wilgocią nasiąkły, pachnący! — bywaj, słoneczko, bywaj! — Tęchlinę wypijcie, zmurszałe przeniknijcie ściany, ruch i życie wprowadźcie! — Wśród szelestu mocno wycerowanych, z uwięzi zrywających się firanek i łopotu pokrowców sterane okrywających meble, przechadzała się z końca w koniec domu. — Nucąc, to monologując, ku drodze, to spoglądając w ogródek.

Na drodze nic, prócz rzadkich przewiewów kurzu — własnoręcznie przez nią zasiany, ogródek skrzył się i mienił. Grządkami bratków, rezedy, pnąciami się wszędy, zewsząd spadającymi bladoróżowej nasturcji splotami. Brzęczał, dzwonił miluchno. Pobrzękiem ogromnie zajętych pszczołek, dyskretnem sikoreczek wśród bzów i tawu! gędzioleniem, szpasia nutką melodyjną. Pod starego lamusa dach, głęboko wciśnięte gniazdeczko pani raz już drugi w tym roku zasiadała. — Byłoż ze strony pana zaklęć i umizgu! — bicia skrzydełkiem, fruwanie dokoła, oszałamiania, czarowania! — Poza tem—istna wśród wyrębu leśniczówka — prócz kilku do mizernego

dworku przypadłych budowli, bory jak okiem sięgnąć, i bory. — Ciemnozielonych rozhovor pióropuszy, chwianie się jak nalanych bursztynem, wspaniałych pni masztowych, fale woni żywicznej, świetlane a majaków pełne głębie.

W ogólnym ruchu, w koncercie ogólnym wzięła udział Tola. Sukienką szumiąc, gibkiem powabnie wyginając się ciałem, jak tanecznicą lekko stąpając, rytmicznie — już pozwalając rozlegać się w śpiewie kryształowemu głosowi, już przyciszając go — z żywą gestykulacją żywo coś prawiąc, dyskretnie. — Z wyrazem oczu figlarnym, z półdziecinym ustek malinowych uśmiechem, trochę tam dziecko jeszcze, lecz już dziewczycą powabna.

— Ej, nie! — brew ściąga i potrząsa głową — powiadam ci — nie! W nieswoje czego się wdajesz, mój ty swawolnicki wietrzyku.—Albo i szpasio: Zaa mąż!— zaa mąż!.. dla czego — no? — że się jegomość sam ożenił. — A te sikoreczki, te tam — la-la! — sikoreczki...

W wiosny majowe poranki —

Pan Jan, za pana Jana... rozumiem, oho! — idź! idź! idź! —

W wiosny majowej poranki
Najpiękniejsza z tego siola
Zosia...

Nie dość i mamy i Janinki — laa-la! i wujcia i stryjcia i cioci, więc i Mateusza i Hirsza i Fajgli, więc, więc...

Zosia pasając baranki
Skacze i nuci wesoła:
La, la, la, la!

Mnie też wesoło. Ciągle i bardzo wesoło. Doskonałe! Cóż w Górcie znajdę lepszego? — Męża? — lala

o lala! — starającego się wołę. — Dzieci? — a jeżeli nie przyniosą bociany? — Górka — upewnia mama — raj prawdziwy. — Są dzieci? — Nie. — Cóżto za raj? — Pan Jan czegoś przeląkł się i zawstydził. — Mama palcem pogroziła. — Nie, czemużto pogroziła? — Tego dotąd nie bywało.

Zosia pasając baranki
Skacze i nuci —

Mój panie — panie klekocący — hop! hop! — Krzywdy nie zrobić, słyszysz? — Gromadkę nanieść mi całą! Ładniutkich, milutkich... Może, może... może się i namyśle... Czy ja wiem? — Takby im dobrze było w parku przez całe lato śpiewać, hukać, dokazywać. Rwać róże i konwalje, nie? — Zajadać się cukierkami, albo i do babci ruszać kareta, czterma końmi w lejc.

No, namyśliła się chyba. Tem więcej, że — czary, czy co? — nawet i ściany zmurszałe, fruwające firanki zdawałoby się mrużyć: pomyśl, pomyśl, nad głową on wam zachował dach!

Zgadzam się, no! mój panie Janie. — Zgoda — będzie pan moim. Tylko jeszcze waruneczki. — Szpaś!.. rzucić nudne swoje: zaa mąż! — i radzić... Jakie tam warunki? — Jakie? — A-a — już wiem!

Oleś za gołąbków parę
Chciał ją pocałować w usta,
Lecz i prośbę i ofiarę
Wyśmiała dziewczyna pusta.
La, la, la, la!

Otóż z tem całowaniem... prawda, że w ręce... tak, czy owak — nieznośne!

Primo tedy. W ręce niewolno całować, bo do Rozalina ucieknę.

Secundo. Pół tygodnia w Górcie — drugie pół w Rozalinie.

Tertio. Mamę i Janinkę więcej nawet, niż mnie szanować.

Quarto. Postarać się najprędzej o dzieci. Wszystkim wraz będzie weselej.

Cinquo. Do Wilna i Warszawy ze mną wyjeżdżać. Strasznieby się chciało poznać świat.

Sexto. Papierosów nie palić. — To zabroniłam już, i tego się pilnują. No, no, przypomnieć nie zawadzi.

To już wszystko — a teraz może...

Twarz jej przygasła nagle, postać zeszywniała, serce targnęło się w piersi dziwną jakąś obawą, niepokojem.

Niekonsekwencja, ot, panieńska. — Co zaszło? — z za ściany boru — o jak pachną rezedy, żywica! jak cudnie majączy bór! — mierzynki wychyliły się nakoniec. Kłusujących para mierzyneków, bryczuszka żółta, ceratowym po same okulary płaszczem owinięty — pan Jan.

Drżącemi nieco rączkami drzwi odryglowawszy, Tola cofnęła się do bawialni. Dziennik do ręki, stołeczek pod nogi — będzie poważniej — w matki zasiadła fotelu. Z ładnym znowu na twarzy rumieńcem i rozbłyskami oczyma. Nie, to nie, oświadczy! — Bryczką przyjechał. — Krezus taki, mówiła ciocia, z oświadczeniami karocą i końmi w lejc przyjedzie.

W sieni tymczasem gość tupał już i chrząkał. W mętne zwierciadelko badawczo, przenikliwie zaglądając, czarnego, jak smoła poprawił czuba, okulary przecierał, niesforne podkręcał wąsy. — Mały, zawiedły człowieczek, z silnymi wypiekami, szyją apoplektyczną, ruchami gorączkowemi niemal. Obrócił się na pięcie — Łebskie feschce chłopię, co? — silną z podróznego flakonika

spryskał się perfumą, w zęby spróchniałe wziął jeden z nieodstępujących go nigdy pastylków miętowych, u piątego palca lewej ręki uczezione pudełko cukierków, prawą, bukiet potężny niosąc, lekki, wytworny, szarmancki, w tużurku jak z igły, przy olśniewającym gorsie, z gardenią w butonjerce, wsunął się do bawialni.

— Przyjmuje bóstweczko?

Bóstweczko zerwało się, na spotkanie z okrzykiem rzuciło wesołym. Trochę nieuważnie. — Potrafiła go sukienką i ciemnozłotym owiała włosem — na ramię atlasowym policzkiem, piersią falującą padła. — Jak prądem tknięty elektrycznym, pan Jan drgnął silnie, nabiegł krwią, kroków odskoczył kilka. — Z obezwładnionych, konwulsyjnie trzepoczących jego dłoni wysunął się bukiet, cukierki...

— Pastylek! — ze śmiechem, i w lot je podchwytując, zawołała — pastylek — nieprawda m'sieur Jean?

Aj! aj!.. no, i cóż tam?.. nie przechodzi?

— Prze... przechodzi — wykrztusił, z siłą tajemniczą pasujący się wciąż, powietrze spiekłemi łowiący wargami.

— To i dobrze, a już myślałam — cóżto za śliczne!.. myślałam, że już po panu.

— Ze śmiechem to mówi — cruelle!

— Oo, pana bardzo mnie byłoby żal!.. I róże, przedudne róże!.. Bardzo... jak mamę kocham.

— Wolno — rączysię?

— Nie! nie! — w zapoconą, skrzywioną zajrząwszy twarz, wzdrygnęła się zlekka. Nie!.. ale niechże pan siada... tam, ot na miejscu swoim.

Siadła na kanapie, suknię szeroko rozprzestrzeniając. Miejsca tu więcej dla nikogo niema.

Taburecik obrzydły wypycha wprost. — Prócz tego, na samym przeciagu... Ha, niema rady! — zęby zaciąwszy sadowi się pan Jan, jak zwykle na brzeżku samym — utrzymując się cudem równowagi.

— Pan wie? — ja dzisiaj gospodyni na cały dom — pan wie? — Grabią tam wszyscy.

— Jakżem szczęśliw!.. e-e — niewymownie.

Brwi ściąga bóstweczko.

— Mamy i Janinki pan może nie lubi? — odpowiadać, m'sieur Jean!.. że niema ich, czemu to pan szczęśliw? — Ładnie — o!

— Królowo! królowo! — Pani dobrodziejka, to dla służki waszego świętość. — To, na pamięć matki mej, matka, iż tak rzekę, rodzona. Parole... he, he...

— Matka? — ej, dziwnie troszeczkę — ale i tem lepiej. — A Janinka?

— O pannie Janinie co trzymać, wie Litwa i Korona. Wyjątku nie stanowią, bóstweczko. Pozwól mi wszelako w innej nieco materji rzec słówko. Pozwól wytęsknionemu — dni dziesięć bez widoku mego anioła!.. pozwól, choćbyś i, un malappris, natrętem, he-he — nazwała, z lubego — he-he — pozwól mi... skorzystać... sam na sam...

Tola żywo główkę podnosi do góry.

— Panu tam blisko, nie? — bliżej tam panu. — Ten stary wyrzucić za okno — róże te śliczne włożyć proszą do bukietjery. — I świeżej, — tam, ot, w karafce — pan przecie wie, że wody świeżej trzeba. — Nie ruszamy się wcale. — Na to, widzę, bukiet przywieziony, żeby zwiadł. — No, no, jak wola i łaska.

— Dla Boga, panno Antonino, już się pani gniewa.

Oszło mi, iż tak rzekę, na razie, ale... A vos ordres, mademoiselle!

Ze zwykłą sobie zwinnością, zerwał się, polecenie załatwił, na taburecik wróciwszy, westchnął, miętowy do ust pastylek poniósł, okulary poprawił.

— Ta moja gotowość na skinienie każde, niechże będzie aniołowi memu zapowiedzią...

— Jakiemu aniołowi? — brewki już były ściągnięte na dobre.

— Panno Antonino!..

— Setne razy mówiłam panu Janowi, aniołem żeby nie nazywał. — Piękny mi anioł... Chyba z pazurkami.

— To, to—mówił, zreumatyzmowane pocierając nieznacznie ramię — to, to... z pod okularów okiem zaświecił złowrogo — to, to — ale i nie szkodzi, sposobik się na pazurki znajdzie.

— Monsieur Jean?

— Tak tam sobie żartuję, bóstweczko.

— Niemądrze, nawet i bardzo.

— Pazurki — he — i któżby przeciwko nim? — Urok wasz, talizman, despotki śliczne. My mężczyźni lubimy qu'on nons griffe. Gdy zwłaszcza rączusia, jak ta oto, arcydziełem jest natury. — W te dostać się szponki — he he — w te na życie całe, ależ to, ma parole...

— Otóż, panie Janie—rzekła nachmurzająca się coraz więcej Tola — ja nawet pana czekałam. — Ja trochę, czy ja wiem? wszyscy mówili w domu, że nawet tęskniłam. Cóż stąd? — Zepsuli pana w Warszawie: pan mnie nudzi okropnie. Jakieś „pozwól“, jakieś Janinka nazywa madrygały... Pan nie widzi, że aż palę się, tak mi się cukierków chce. A tu, wstążka spleciona, zaklejone tak dziwnie — ani rusz. — Pan wcale nie widzi.

Ha, sposobność wyborna uwolnić się od przeciągu — jednocześnie wywijającej się przeciwnicze — niewiniątko niby, ale i wie co robi — utrudnić obronę. — Pan Jan powstaje z ukłonem.

— Ależ, ale... avec plaisir. — Niedomyślność racz wybaczyć królowo. — Czy mi tylko wolno... ha, nie śmiem... czy wolno mi będzie na brzeżku sofki... na samym — he he — brzeżku...

— Choćby i na całej, m'sieur Jean, byle prędzej! Tego mu powtarzać nie trzeba. — A vos ordres! — mile uśmiechnięty, znalazł się w sąsiedztwie bóstweczka.

Bóstweczko — ha! — Szyjka toczona, śnieżna, oczęta — gwiazdy z pod łuku czarnej brwi aksamitnej, kształt, hm, wąty jeszcze nieco, lecz smukły, pełen rozkosznych obietnic... Ten zwłaszcza wiosny bijący od niej czar, jak winko przednie, Tokaj wytrawny, ogniem przenika mu żyły. Tak, luba dziecińco, tak, zrównamy się my jeszcze. Kosztem żon młodych, starzy — he he — prosperują mężowie. — Moja ty! — moje źródelko de jouvence, kwiecie, którego nektary ja, pszczołka, he he, nienasycona... Mnąc wstążkę pudełka w palcach dygocących objął dziewczę spójrzaniem z pode łba. — Chciwem a posępsem władcy przyszłego spójrzaniem.

Złowrogie, chociaż i niejasne przeczucie zamajaczyło w umyśle Toli. Cofnęła się — odsuwając otwarte nakoniec, z gracją podawane jej pudełko.

— Co to ma znaczyć? królowo.

— Nic. Już mi się odechciało.

— Kicia z mysią, ma parole... Od Loursa, cukry, he, przepyszne... Sam wybierałem...

— Tak?

— Tu, tu, owocowe — znam pani mojej gusta i guś-

ciki — tam ot, czekoladki, w pamięci wszystkim zakarował — szczęśliw, rad, że pani mojej...

— Sam wybierał, i — z rumem nałożono. — Ja przecie nieznoszę z rumem.

— Ha, istotnie. — Skąd się, hm, wzięły... Omyłka, omyłeczka fatalna.

— Wcale nie omyłka, Monsieur Jean takie lubi.

— Cóż za myśl, bóstweczko!..

— Pan wie przecie, gdzie salka. Otóż w salce na gwoździu, a może w szufladce, albo i gdziekolwiek, czy ja wiem? znajdzie pan od bufetu kluczyk. Bufet niech monsieur otworzy i talerzyk stamtąd przyniesie, dla powybierania tych z rumem. — Jeszcze mi resztę zarażają cukierków. — Co tam, pewnie już zaraziły.

— Bardzo mi przykro, wierzyć, królowo, chciej.

Oddała się krokiem kontredansowym. — Tola zostaje samą.

Ścich! wietrzyk, rumienią się sosen wierzchołki, leśna głęb drga pyłkiem złotawym. Kwiaty pachną silniej, tkliwiej szczebiocą ptaszyny — różowo, różowo, skądś tam w ogródek łuny biją różowe. To wieczór już. — Tam nad łąkami słońce zapada, kończy się dzień roboczy, lada chwila nadejda... Bodaj nadeszły! — bodaj skończyło się to nieznośne samnasam!

Pan Jan wszakże zjawia się niezwykle prędko, bez talerzyka, i z miną uroczystą.

— Kluczyka nie znalazłem, he — ale i o kluczyk mniejsza. Mniejsza. Gorszem, że mnie po manowcach wodzi rączyna madziudzi. Gorszem, że pani, łaskawa panno Antonino, zdajesz się, iż tak rzekę...

— Domyślam się... oo, jak mamę kocham, nawet i zabardzo. — Pan oświadczyć się chce koniecznie...

Co?.. A widzi! — Mnie jednej — bez mamy i Janinki — bardzo to ładnie!..

— Panno Antonino łaskawa, mimo łąk, wiadomo pani, przejeżdżam—bez upoważnienia mamy dobrodziejki nigdybym się nie ośmielił..

— Mama tu pana przysłała!..

— Ze słowem — he he — zgody i błogosławieństwa—panna Janina siostrzane swe, najserdeczniejsze łącząc życzenia.

— Wiem, o wiem. Wszyscy tam oni wszyscy, więc i wujcio i ciocia i stryjcio, Hirsz nawet, pańska nawet Fejgele wypchnąć mnie chcieliby za pana!..

— Wypchnąć, he he, bóstweczko, co za wyrażenie! — Marsik ten, co, bóstweczko, znaczy?

— Pan czterma w lejc nie przyjechał. Ani karetą. Jakaś tam żółta, powszednia bryczuszka. Tak się nie przejeżdża w oświadczyzny.

— Nie podoba się mój zaprząg jasnej pani? — Ha, trudno, karocę do przefasonowania oddałem. Ale i będzie, nie bój się, będzie. Do ślubu karetą, czterma w lejc pojedziemy.

Przysunął się lekko, nieznacznie — próbując, przedsmak poufałości małżeńskiej, objąć ją ramieniem.

— Między nami ślubu nie będzie! — zerwała się z kanapki, przyczem cukierki rozsypała, brzękła bukietjerdą — wcale nie myślę za pana iść... wcale!

— A to czemu? — spytał niezmiyszany bynajmniej, owszem, w półuśmiechu długim spróchniałe swe ukazując zęby.

— To przecie... na całe życie. Oho, to już nie żarty... Aż do śmierci Janinka mówi — aż, aż do śmierci!

— Do śmierci — he he — i po śmierci, naucza nas Kościół święty, matka nasza — he.

— Otóż monsieur Jean, proszę posłuchać. Ja jestem strasznie zmienna, jak ta chorągiewka na dachu. Nim pan przyjechał — wiedzieliśmy, oho, że przyjedzie — myślałam — tak! — Wynudził mnie pan, trochę i rozzłościł, że — nie! postanowiłam. — Taka chorągiewka przysięgać nie może do śmierci, jeszcze tam i po śmierci. — Nie, ja nigdy za mąż nie pójdę, i za nikogo!

— Że pani, he, lekkim sercem wyrok śmierci na sługę swego wydała, to naturalnie, he — względów za skarbić nie zdołałem. Co pani wszakże zawinił Roza-lin, ojców siedziba odwieczna? Co najczulsza z matek?— Co siostra, uosobione poświęcenie? — Z moją śmiercią ginie poręka, dach wam ginie z nad głowy. — Dla niekonsekwencji, kaprysiku, iż tak rzekę, dziecinnego...

— Pan zaraz umieraniem straszy. Wiecznie umieraniem. Niech pan żyje sobie, w Górce panuje — z Janinką ożeni się, czy co?

— Gubisz — ee — bóstweczko, siebie i swoich, mnie — zgubiłaś!.. Żegnam... udając, że ku wyjściu zmierzra, głosem przemówił grobowym.

— Nie! — ostro, przenikliwie zawołała — czy ja wiem? ale i zostań — zostań m'sieur Jean!..

— Jako służka dozgonny? — podnózek, wiekuisty niewolnik bóstweczka?

— Czy ja wiem? ach, czy ja wiem? już i głowa pęka...

— Wątpliwość, królowo, niech rozstrzygnie ten oto — he he — pierścioneczek.

— Więc i zaręczyny... Takito pan Jan!.. Śpieszyć poco?

— Ten oto pierścień, ogniwo pierwsze kajdan złotych, którymi, królowo, niewolnika swego dozgonnie pętasz... No, a teraz, rączusię mi dać!.. rączusię... te mooje... moje.

Wargami zwiędłemi wpija się w rączęta — jęczy i sapie, sapie, jęczy i wzdycha.

Głucho wietrzyk zaszeleścił — westchnęły, kielichy pochylając, kwiaty — w ogródku blaski zagasty różowe.

— M'sieur Jean, po rękach całować niewolno! — m'sieur Jean, posłuchać proszę — ja panu postawić muszę warunki.

— Warunki — he?.. Warunki... hehehe. — Z zamkniętymi — iż tak rzekę — przyjmuję wszystkie oczyma.

— Ale i posłuchać — no!..

Primo...

II.

We wspaniałej niegdyś rezydencji pana Jana, pokój ochmistrzyni.

Z poduszkami po sufit, zapachem suszonego ziela, dwojgiem okien wychodzących na ogród.

Noc czarna, wicher szaleje — drżą dworu przeżarte ściany, ogród szlocha, zawodzi.

U stołu, przy świetle mdłym łożówki panna Salomea szydełkiem wywija. Ostro przez metal. Kunsztu jej arcydzieło, końca już swego dobiegnie dziś chyba, olbrzymi szal włóczkowy.

O jedno z okien rosnąca tuż akacja ociera się, to w

nie prątkami uderza śmigłymi. Ruch ten czający się to drapieżny drażni potrosze Tolę, na niskim w pobliżu i własnym, z Rozalina tu przywiezionym siedzącą kuferku.

W męzatki haftowany przybrana szlafroczek, młoda pani włosy w warkocze po panieńsku spłotła. — Twarzyczka jej przybladła, w ruchach pewne onieśmienie znać, w oczach znalazł się nowy całkiem wyraz — tęsknoty, rozmarzenia.

— Dwie, to nie jedna — co tu i gadać? — powiada ochmistrzyni, poprawiając się w fotelu, stopy szerokie silniej o podnózek wspierając — we dwójkę zawsze taki przytulniej. A jeszcze w Górce. Od Batorego domisko — lada wiatr — panie mój! — piekło już całe. — Leżałabyś, ot! — z łóżeczka poco się było wykopywać, paniusiu?

— Ależ... nie! — W łóżeczku wcale się nie było, kochana panno Salomeo.

— Jakto?

— Nazywa się otomaną, prawda? — Otóż na otomanie, na której pana Jana dogładając, dzień ach, cały przesiedzieć mi się przyszło, usnęłam w połowie dnia. Więc i po dogładaniu! — Małżeńskie nie dopełniłam obowiązku. Który spełniać zalecała mnie i mama i ksiądz spowiednik. — Cóż tam zresztą? — stało się.

— To dogładanie, to sobie z poza ściany, tak? — Paniusia u pana, Boże uchwaj, nie była?

— Kochana panno Salomeo, nie wie pani, ale ja strasznie jestem uparta. Chciało się nie posłuchać. Tem więcej, że mama i ksiądz spowiednik... Tymczasem kamerdyner pana Jana drogę mi zastąpił. Zuchwalec.

— Od cepa kamerdyner. — W liberji na ten raz.

— Ależ...

— Nie miała Górka, nie zobaczy. A panusi radzę Salomei słuchać — ot, co!

— Wcale nie rozumiem. — Chory jest przecie.

— Hm...

— I padł i zębami zgrzytał... Rozbił się kieliszek... Ładnie krzyknęłam, co? — Umiem krzyknąć — prawda?

— Że paniskiem od czasu do czasu trąca, nie wiedzieli w nas? Naprawdę nie wiedzieli? ramionami wzrusza ochmistrzyni. — Och ludzie!..

— Trąca?

— Oczki co tak przestraszone? — Nie frasuj się, pannuńcia. Usnął — nic mu nie będzie. Chrapie... oo — posłuchać proszę — na cały dom!

— Nawet i oddawna — tak. Ja na otomanie cały, cały sobie przesiedziałam dzień — on, cały dzień przechrapał.

— Dopust Boży. — Nie turbuj się jeno pannuncia, i nie budź licha, kiedy śpi. — Co tu i gadać?

— Że go nie... lubimy, wydaje mi się.

— Męża paninego? — Ależ!.. Jak duszę własną, cha, cha. — Komu — cha, cha — oddan mój żywot cały? — Po dniach i nocach dla kogóżto bieduję a haruję w Górce zatraconej?

Upuszcza szydełko. — Wiekiem i troską zorana, lecz ze śladami piękności twarz jej kurczy się, mieni.

Toła z paluszków ściąga, pobrzękuje pierścionkami.

— Tem lepiej, no! — Trochę nawet i zdziwiło. — Pan Jan jest ogromnie, ogromnie dobry, a tu się mówi „nie budź...“

— Nadarło się — cha, cha — owieczek za młodu — śmieje się wciąż ostro, niemile — stać wilczka na baranią skórę, stać!..

Pierścionki nakładając, młoda pani ściąga brwi leciuchno.

Mimo dobroduszości pozór, jejmość stanowczo należy do rzędu sług rozzuchwalonych i niezycziwych. Należałoby odejść.

A nawet — o tak! — przychodzić wcale nie należało.

Wzdryga się nagle.

Ej, nic!.. To tylko silniejszy wichru podmuch. To tylko trzepocącemi gałązkami, jak ószalala, pada raz jeszcze na szyby akacja.

Tam, w ponurej przed chwilą, gdy dnia ubiegłego tak ożywionej sali drzewa się u okien nie szamocą. Szum ich wszakże niemniej przejmujący, żałośny. Zbudził ją. Zmęczoną niezmiernie, snem kamiennym uśpioną. — A może myli się Tola? — Zbudziły może z poza ściany pomruk i stękania głuche?.. Cożkolwiekbądź — do głębi duszy targnięta dziwnem jakimś niebezpieczeństwem przeczuciem, żywo zeskoczywszy z otomany, tu, na światelko mrugające w oddali przybiegła. — I nie odejdzienie! — W dużym — nieznanym jej prawie domu, nowe samnasam z nocą i zawieruchą nie uśmiecha się wcale.

Wyjechały!.. Skąd przyszło na myśl matce, Janinie? — Miały zostać. — Nawet i pokój przygotowano. — Jej własny — urządzony prześlicznie. — Kapy na łóżkach karmazynowe, jedwabne, poszewki z haftowanego batystu, cieniuchna holenderszczyzna... Wszystko, jak z i... to jest, nie! — ale i wszystko najpilniej dotąd strzeżone i przechowywane u nich — matki jeszcze wyprawne — nie żarty!

Gotowalnia między łóżkami. Na jej ustrojenie, rozmiar wzięwszy, Janina ostatnią swą muślinową poświęciła suknię. — Znalazło się i zwierciadło w ramie srebr-

nej i fatalaszki przeróżne. Ciocia zaofiarowała flakon perfumy tak mocnej, że, istny fijołków łan, zapachniało nagle w pokoju.

Tak żywy, trzpiot niebywały, pan Józio nawet znać że się zachwyił. — Biegając dla poprawienia czepeczka, oj te czepeczki! — na samym dognawszy progę, cofnął się nagle i zamilkł — długo na łoża wspaniałe, to na nią spoglądał. — Rzekła nie wiedząc prawie, co mówi, byle kłopotliwe przerwać milczenie: „To dla mamy i Janinki... Ja się na kanapie prześpię, a one — co za radość, mieć je pod moim dachem — pan Józio niech pomyśli — co za radość!.. Po jego zaś twarzy przykry jakiś przeleciał wyraz. — To ją zdziwiło, ale rozumie już teraz. Wtajemniczony był, że zdrada się na nią gotuje. O, zdrada!

No, tak... najniezawodniej. — Dlatego i matka tuż za niemi przybiegła. Wygadaniu się zapobiegając a z przestrogą niby: — „Mąż twój gra i gra — wszystkie pary stanęły — cóż tu porabiacie?“ — z podejrzliwym, a nawet, nawet, niechętnym, rzeczby można spójrzaniem.

W ten sposób na niego... no, kamiennego serca można powinszować. — Istny cud!.. Chłopak pod słońcem chyba najładniejszy. — Młodzieży „jak malowanie“ — skąd się i wzięli? — nawiózł ze sobą pan młody. Cóż stąd? — Gdy się ten jego synowiec — podobno nieproszony, zagranicą bawił podobno — nieproszony, we fraku wszakże i w białym krawacie zjawił, wszyscy poszli w ką. Stado szarych wróbelków przy gołębiu śnieżnopiórym... Ach, tak!

Od paniątek roi się w okolicy. Druchen miała dwanaście. Dwanaście ma nieprzyjaciótek. — Warjatki. — Zachwycić się? — dziwu niema, sam Bóg przykazał — one się w nim wszakże co do jednej rozkochaty. — Pan

Józio tymczasem... Cóż Tola winna? — Może dlatego, że, czuje to sama, najzgrabniej z nich wszystkich, najmierzdowanej tańczy... Może dla czepeczka, w którym jej, głosem jednym wołano: Ładnie! ach, jak ładnie!.. Może zresztą przez wdzięczność, iż wychodząc za wuja, dała mu wujenkę. — Samotnemu. — Pół smutny, pół drwiący, zupełny — ona matkę i Janinkę ma — zupełny sierota, nikt się nie domyśla, jaki to biedaczek!

Nakłoni pana Jana, żeby go do Górki wziął. Nie malowaną jakąś, chce się dlań wujenkę stać prawdziwą. — Z najlepszych najlepszą — najprawdziwszą z najprawdziwszych.

Co ją najmocniej wzruszyło, to, że pożegnawszy się już ze wszystkimi, jeszcze się na niej posmutniałemi zatrzymał oczyma szepcąc: „Ona jedna tam została...“ Wierszyk ten umie — odtąd ze sto razy powtórzyła go sobie Tola... Ona jedna tam została, przepióreczka moja mała — dalej zaś: A ja jeden w obcej stronie — dnie i noce tęsknię do niej...

Pocóż ma tęsknić? — Nie chce tego, nie pozwoli na to, nie!.. Byle się pan Jan obudził... Co za nieznośne spanie!

I cóżto za różnica pomiędzy nudnym, wlokącym się dzisiaj, a ubiegłymi, jak strzała, dniami tamtymi! — Wczoraj zwłaszcza oświetlona z końca w koniec, muzyką rozbrzmiewająca, pełna gwaru, szumu i śmiechu, Górka jej rajem wydała się istnym. Nie uwierzyłaby, że w tym raju mogą być chwile, jak obecna. Stukot okiennic, chorągiewki skrzekot, wichru po kominach gwizd — przed nią w świetle łożówki żółtawem ta jedynie szara, pofałdowana, w bólu, czy buncie steżała zdałoby się twarz.

— Kochana panno Salomeo...

— Ano — cóż tam?

— Ja myślę, że nie trącenie, ani żadna choroba...

Myślę, że fatygi zbytek.

— Jeżeli z tem pani wygodniej — myśl.

— Grał calušką noc. Nie żarty.

— Ktoś całą noc przetańcował. Dobrali się — co tu i gadać?

— I tu — i w Rozalinie. — Na tem naszym klepadełku. Pani wie? — mamy jeszcze wyprawne.

— Żeby nie wyprawka mamina — długo to potrwa, ech? — kuso byłoby z paniusią.

— Pan Jan jest, na szczęście, bogaty.

— Hm...

— I gotów mnie słuchać we wszystkim. Nawet i fortepjan dla mnie wypisał z Warszawy. I muzykę na wesele nasze zamówił. — Pułkową.

— No, to chwalić Boga, mieliście huku, puku. Póć na klepadełku? — albo i tu na szpincyku? — Cha, cha — kto jeszcze? — nowożeniec sam.

— Cóż miał zrobić? — Skoro dobry jest i chciał, żebym się zabawiła. A oni zawiedli. — Z jednym tylko panem Janem, wujcio mój powiada, można sobie awantur takich pozwalać. Nawet i zegareczka nie przysłano — maluśki, z brylancikami. — Bransoletki nawet — takby mi się wczoraj przydała! — nic w porę. Nic, a nic!..

— Na poczcie się zawieruszyło — cha, cha — dojdzie pannusiu.

— Albo i z karetą!.. W mamy koczobryku, starym, starutkim, nietylko się pojechało, lecz i wróciło ze ślubu. — Chciałam, żeby choć siwki zaprzęgli, ale i dowiedziałam się ze smutkiem: ten dyszlowy kaszle — może już trochę mniej? — zakulał lejcowy...

— Lejcowy... dyszlowy... że też paniusia wszystko najdokładniej wie!

— Prawda? — Jeden jest z białą pęcina, drugi jabłkowity, trzeci ma strzałkę na łbie... Pani wesoło zrobiło się widać — śmieje się wciąż i śmieje...

Nietylko śmieje się, ochmistrzyni nogami tupie z uciechy. Udałoż mu się obełgać lalunię... To nie z Salomeą... Stary wróbel nie dał się wziąć na plewy. — Baję o świetnościach wyprawy: srebrze, sobolach, brylantach, prędko, co tu i gadać? skombinowała, że — baję.

— Jutro — mówi pani Tola, uśmiechając się, strzępiąc jedwabne końce warkocza — jutro, zechce, czy nie zechce pan Jan, wizytą moją pierwszą... Ach!..

Czającemi się krokami, zna je dobrze, tym razem nie dosłyszała ochmistrzyni, podkraśl się i w progu staje.

— Eh bien, madame? — eh bien?

Chciał wrażenie wywrzeć — wywiera je, nad chęć i spodziewanie. Młoda mężatka silniej nadprzyrodzonego nie przelękłaby się zjawiska. Rozszerzonemi nań spoglądając oczami, cofa się ze swoim kuferkiem pod ścianę, jakby w nią wpaść — nią siebie przed nim zasłonić usiłowała.

— Zebrały się dwie Marysie, dwie, iż tak rzekę, he he, Marysie...

— Nie!.. trochę nieprzytomnie woła Tola — nie!.. cóżto za maskarada? — Takim nie chcę ja pana... nie chcę!.. Przebrać się! przebrać m'sieur Jean!..

— Ej-no, ej! to nie Rozalin — zęby wyszczerzając, pan Jan — dowód, że się rozgniewał — tonem syczy cieniutkim — to nie Rozalin, i, mille pardons! — ale królewskie swoje minki jejmościuniu, do niezobaczyska, pochowaj.

Ha! dość już tego. — Tyle kosztu, kłopotów, tyle, tyle przymusu — czas odetchnąć. A i poczuć się, co, u djaska! raz już przecie — samemu poczuć, jej też wykazać czem jest i będzie... panem, władcą. — Lekko-myślny berbeć — kurczak niewypierzony — tfy!

Że się dzieciństwem rozdrażnił, mieć za złe nie można panu Janowi. Nie ten jeden, żalów do Toli miał już tysiące. Powodzeniem — kiedyś, kiedyś „l'irrésistible“ — i samowolą zepsutemu, ani przeczuwała, ile ran, ukłuć zadała bolesnych. Ileż razy, manjerą ubiegłego półwiecza i najnowszymi kosmetyki zdobyczami we własnem przekonaniu odmłodzony, spotykał się, jak i dzisiaj. —

Tak — przed chwilą jeszcze, spoglądając w zwierciadło węża musnął z zadowoleniem. Nad czołem, wydało mu się Jowiszowem, czupryna wzburzona — z umysłu nie tknął jej grzebieniem — falowała wspaniale. Podbrzękła i krwią nabiegła twarz, miała wyraz czerstwości młodzieńczej. W szyi odkrytej, krew nie wodę zdradzając, arterje pulsowały silnie. Przyczem, szata męska estetyczna i dostojna — szlafrok. Bajowy, rudokarmazynowej barwy luzem puszczone, jak i puszczone luzem, fruujące za nim sznury. Całości dopełniały z pąsowego saffjanu, lekko, dyskretnie kłapiące, że „cichostępy“ domyśli się każdy. — Agatka i Marcjanna, którym się raz pierwszy we wspaniałościach tych objawił, nie miały dlań dosyć słów zachwyty.

Zdziwioną i przełknięą wyglądem pana Jana, występ jego słowny niesłychanie oburzył. Co to? — nieprzytomny chyba — do niej przemawiać w ten sposób!.. Odwróciła się z minką pogardliwą. — Na niegrzeczność taką, jednym odpowiedzieć tylko można — milczeniem.

Lepiej byłoby wprowadzić odejść do „swojej“ sypialni — i zostawić go tu z Salomeą. Cóż, gdy zapóźno.—

W rozmachu szlafroka szerokim na kuferek padając, suknię jej przyległ.

— Z małą, he, malusią wymóweczką. — Że meżiwo inkomodowane wiedziała magnifika. — Nie przyjąć, he? — Na ręku, he, fagasa... Wody nie było komu podać. — Pocóżem, u licha, żonę wziął?

Tytuniem czuć go i winem. — Tytuń — ach, niech tam już pali sobie!.. Trochę mniej lub więcej czarne zęby... jest i bez tego szkaradny. — Co do wina — tak, wina to sprawki. Zapędzonemu w muzyce, chętnie, ze śmiechem podnosiła mu je bez końca młodzież. Synowiec ich zwłaszcza: „No, wujku, raz jeszcze Toli, wujeczki Toli zdrowie!“ — Dzwoniły kieliszki, pan Jan w klawiszach z nowym uderzał ferworem, oni zaś, przy dźwiękach — la! la! — skocznych, lecz i nieco melancholijnych, wracali do tańca, ściskając się za dłonie, spoglądając sobie w oczy.

— Nosek na kwintę, zioniowa? — Wstydzimy się — i słusznie. Na samym wstępie un faux pas, un petit faux pas nóżki przyznają, śliczniuchnej. — Jedno jeszcze, mille excuses! — W roli roz... roz... roztrzępianego, iż tak rzekę, podlotka, małżonce mojej — he — pani domu, spółwłaścicielce Górki z przyległościami... nie uchodzi — oo — i bardzo! — nie, nie, nie...

— Pojechał — ech! — mruży Salomea. Zrzędy będzie, jak od nas do Warszawy. — Pan! — przerywa mu — jegomość! — chcesz łajać, babę łaj. Wybierano się — nie dopuściłam. Ja nie dopuściłam — no! — Dlaczego? — pan wiesz i ja wiem. — Co tu i gadać?

— Zazdrośnica... Babsztyl utrapiony!.. Huż a huż, wiecznie mię za tydy chwytac będziesz Lotka? — Odczep się! — Z sakramentem żartów niema.

— Niema panie. — Dlategoż radziłabym z piekarni osoby niektóre — Ha ha ha!

— Bodaj cię zabito!

— Ja, panie, chlebem za kamień płacę. — Bodajeśmy dnia jednego skonali! — Ha ha ha!

— Nie słuchaj zioniowa, co tamta plecie. W średnich wiekach lepsze od niej na stosach palili. — Przytulić się — oo! — buzi dać. — Za szyjkę wziąć mężiową, Jasia, Jasiunia swojego, za szyjkę...

Przysuwa się, ku twarzy jej rozgorzałą swą pochyla twarz.

Od głowy do stóp wstrząsa Tolą dreszcz odrazy. Zdjął okulary. — Wzrok jej spotyka się z oczętami, których białko przekrwione, mętna i obłądna tęczówka, złowrogi całej fizjognomji nadają wyraz. Przetarta z farby i potem okryta czupryna, mowa szepleniąca, wargi skrzywione uśmiechem Satyra... ten jakiś, ten jakiś... O Maryo! — mącić się jej poczyna w głowie — ktoś to? — nie zna! — nigdy nie widziała.

— Wzdrygasz się? — ti, ti, maluti... Bo i djablo tu z pod okna wieje. — Na kolanka — he — na kolanka do mężiowy! — Ja tu ciebie szlafroczkem... — Ja tu wraz, maluti ciebie...

— Niewolno! — precz! — głosem drgającym z gniewu i przestachu woła Tola.

— Mnie, sikoro, niewolno?

— A słowo!.. Kto słowo dał?

— He? — co?.. na to ucho niedosłyszę.

— Słowo kto mnie najświętsze dał? — Jeszcze tam u nas... Wszystkie moje warunki...

— Kto dał, ten i odebrać może. — Cha, cha, — cmok w uszko! — w szyjkę, co za szyjka! — cmok!.. Warunki, co za warunki? — Ekscypowana rączka.

Rączka — noli me tangere. — Poza tem, zioniowo maluti... poza tem — oo — poza tem...

— Do Rozalina — jutro, jak świt — panno Salomeo — konie mają być... Jutro — jak świt. Wyjeżdżam, nie wrócę! — nigdy już tu — nigdy noga moja nie po stanie.

— Czyś oszalała? — Salomeo dobroduszko, jak sądzisz ten fant?

— Ma państwo, czego chciał. — Co tu i gadać?

— Panem tutaj, bóstweczko naj — iż tak rzekę — najjaśniejsze, byłem, he he, dotąd — ja. — Salka, być może, rozkazu nie posłucha.

Zapalił papierosa. Rozparty, zgarbiony, ciamka, cmoka, nosem kółka misterne, to ustami kłęby wypuszcza dymu.

W ciemnościach za ścianą drży, słania się akacja. Wstecz corazto porywana, uparcie wraca, rozpaczliwie o szyby gałązkami bije rozwichrzonemi.

Szłocha ogród i jęczy. — Szłocha, jęczy, zawodzi noc październikowa.

Z gwizdem i szumem wicher w kominy wysokie, w liczne a spletane korytarze wpada. Skarg smętnych, żalośnych nawoływań pełen, zdałoby się dom.

Oczy Toli napełniają się łzami. Silnie a nierówno serce w piersi uderza młodziutkiej. Nieznanemi jej dotąd uczuciami opuszczenia, żalości, obawy.

Nad dziką muzykę ponurego domu i wietrznej nocy jesiennej, budzi się kędyś tam, cicho, melancholijnie podzwaniać zaczyna szpinecik, do wtóru piosnce smutnym nuconej głosem „Ona jedna tam została...”

Na tle mrocznej zawieruchy, jak senne, dalekie, niezmiernie dalekie widzenie, w pamięci jej zmartwych-

wstaje, róż przejęta zapachem, w odblasku różowym, firankami wesoło trzepocąca bawialnia.

W niej dziewczę niefrasobliwe. Cackane dotąd, pieszczone, wyglądające z uśmiechem „pierścionka“ i pana z cukierkami...

W wiosny majowe poranki
Najpiękniejsza z tego siola
Zosia pasając baranki
Skacze i nuci wesoła.
La, la, la, la!

Szalony Tol. Dziewczę lekkomyślne, o lekkomyślne.

Z tą swobodą niedbałą do strasznej zobowiązać się, stanąć przysięgi!

Z piersi jej dobywa się westchnienie, usta szepcą mimowoli: „Aż do śmierci“.

— I po śmierci, zioniowa, i po śmierci, naucza nas Kościół święty, matka nasza — pan Jan odrzuca niedopalek — tem lepiej, zioniowo maluti... Chap, uszko — co za uszko! — chap, chap, uszko, schrupię... Daj kolanko pocałować...

— Panie Janie! raz już przecie... Panie...

— Za pana he! — będzie klaps.

— Co?

— Klaps — he he — będzie. — Cóżto za pan? — Twój, zioniowo, ciul, podnózek, sługa, iż tak rzeke, dogonny. Twój...

— Zioniową nie pozwalam siebie nazywać!..

— Skarby, mówi się do ciula swego — Robaczku, mówi do ciula.

— Ach, nie!.. Nigdy!..

— Aniołku, mówi się do mężiowy, do ciula, he he— swojego...

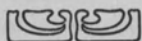
— Nigdy! nigdy! — Precz! — Proszę mię nie dotykać!

— Ti, ti, maluti... Dość już ceregieli! — na kolankach u Jasiunia swego. — Cmok, w oczko! — W pysio, cmok! — Ti, ti, maluti... Moja, moja, moja...



SPIS RZECZY.

| | Str. |
|--|------|
| Za słońkiem | 3 |
| Bajdurzyna | 13 |
| Przykazowanie Świętego Pawła | 27 |
| Krzywdy swej nie trza dopusć | 39 |
| Powój | 47 |
| Powrócił | 67 |
| Rozita kosę niech rozplecie | 81 |
| Rozbitek | 93 |
| Na Podgórzu | 123 |
| Będzie jak w raj | 135 |



3318